Nr. 211. Lwów — Piątek dnia 15 Września. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena pisma na prowincyi.

CENA OGŁOSZEŃ

Dziś:	św. Nikodema M.	Anftyma	Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45	Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**	Wschód słońca g. 5 m. 44	Długość dnia g. 12 m. 22
Jutro:	Ludmili M.	Wawyły			Zachód „ „ 6 „ 6	Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 14 września.

Wichrzenia młodoczeskie doprowadziły do tego, że rząd musiał nareszcie chwycić się wyjątkowego środka, wprawdzie nie najostrzejszego ze wszystkich, jakie obowiązujące ustawy przewidują (jakim jest np. stan oblężenia), ale w każdym razie bardzo stanowczego. Telegram wczorajszy doniósł, że na mocy uchwały rady ministrów z 22 z. m., aprobowanej przez Najj. Pana zawieszono z dniem wczorajszym dla Pragi i jej najbliższych okolic dwa artykuły ustaw zasadniczych, przez co zaprowadzono cenzurę i wyjęto wszystkie przestępstwa prasowe tudzież sporą liczbę innych czynów karygodnych z pod jurysdykcyi sądów przysięgłych, a przekazano je trybunałowi złożonemu z sędziów zawodowych, wydających wyroki na podstawie litery prawa, a nie na podstawie przekonań politycznych, sympatyi lub antypatyi.

Nadto pociąga za sobą zawieszenie artykułu 12 i 13 ustaw zasadniczych ten skutek, że żadne stowarzyszenie ani też filie jego nie mogą być założone bez zezwolenia władzy, a istniejącym już towarzystwom mogą władze zabronić dalszej działalności lub też ją ograniczyć. Władza polityczna ma prawo wysyłać na posiedzenia wszystkich towarzystw i na wszystkie zgromadzenia swego komisarza, który może rozwiązać zgromadzenie w razie przekroczenia statutu lub zakresu działalności. Wszelkie zgromadzenia i pochody, jak wesela, pogrzeby i t. p., mogą się odbywać tylko za zezwoleniem władzy politycznej. Władze te mają także prawo zabronić wydawania lub rozszerzania dzienników, broszur i innych druków, wydać zakaz przesyłania ich pocztą i wstrzymać wykonywanie przedsiębiorstw, które przez druk lub sprzedaż literackich lub artystycznych dzieł zagrażają spokojowi publicznemu, wreszcie oznaczyć termin do składania obowiązkowych egzemplarzy aż do 3 godzin przy pismach peryodycznych, a przy innych drukach aż do 8 dni przed ich wydaniem. W końcu mogą być wydane ograniczenia policyjne co do nabywania, wyrobu, sprzedaży, posiadania i noszenia broni i amunicyi, co do paszportów i meldunków, co do zachowania się w miejscach publicznych i zgromadzenia tłumów, tudzież co do demonstracyi i używania odznak.

Ten wyjątkowy stan ma na razie trwać tylko przez rok jeden. Fakt ten doniosły notujemy z prawdziwem ubolewaniem, że niestety są w obrębie monarchii austro-węgierskiej punkta, w których konieczną rzeczą było ograniczyć swobody konstytucyjne. Bo, że ten stanowczy krok rządu był koniecznością, uznać to musi każdy nieuprzedzony, trzeźwem okiem patrzący obywatel. Zresztą krok ten nie jest wcale wymierzony przeciw Czechom, tylko przeciw Młodoczechom, — stronnictwu, k t ó r e z e w s z y s t k i c h p o l i t y c z n y c h p a r t y i w E u r o p i e j e s t n a j m n i e j s y m p a t y c z n e.

O działalności tych Młodoczechów pisaliśmy już nieraz z oburzeniem, a wszystkie poszlaki przemawiały stale za tem, że kasa agitacyjna tego stronnictwa zasilana bywa z Peterburga. Tem się zapewne także tłumaczy ta nadzwyczajna, bałwochwalcza admiracya Młodoczechów dla Rosyi a zarazem ta propaganda sympatyi dla prawosławia. Pomijając jednak tę zagraniczną cechę ruchu młodoczeskiego, zwrócić należy uwagę na jego bezwzględność. Młodoczesi nie przypuszczali nigdy możebności kompromisu, lecz byli zawsze bezwzględni dla swych przeciwników. Maksymą ich polityczną było zawsze: zgnębić, zniszczyć, wytępić przeciwnika, nie uznać jego żadnych, choćby najsłuszniejszych żądań. Takie zasady wpajali zawsze w tłumy i doprowadzili w końcu umysły przeważnej części ludności czeskiej do stanu kompletnego rozwydrzenia. Nienawiść do Niemców stała się dziś w Czechach chorobą narodową, — a przecież zapominać o tem nie można, że ci Niemcy stanowią połowę ludności w Czechach i że dla Czechów koniecznością jest polityczną ułożyć z nimi *modus vivendi*.

Tymczasem Młodoczesi nigdy nawet myśleć nie chcieli o jakimkolwiek kompromisie z Niemcami i wyobrażali sobie, że swą gwałtownością albo zmuszą Niemców do wyniesienia się z Czech albo ich na Czechów przekształcą. Marzenie naiwne, bo właśnie ta gwałtowność wywoływała reakcyę równie namiętną i w Niemcach wytwarzało się coraz silniejsze poczucie solidarności i coraz większa nienawiść do Czechów. Dwa narody stały w obec siebie jakby dwa wrogie obozy, gotowe każdej chwili stoczyć bój. Kto przed dwoma laty zwiedzał wystawę pragską, a umiał badać stosunki i zaglądać do serca ludności, ten już był zdania, że długo żaden naród nie może żyć w takiej gorączce, bez wywołania jakiejś katastrofy. Od tego czasu minęły dwa lata, nienawiść z obu stron wzrosła, stosunki się pogorszyły, a cześć dla caratu przybierać poczęła tak bezczelną formę, że Młodoczesi na hymn austryacki odpowiadali rosyjskim hymnem „Żyzń za cara". Trzeba więc było przystąpić do wykonania operacyi: — do rozcięcia tego młodoczeskiego wrzodu i uratowania ludności Czech od zjadliwej jego ropy.

Jeżeli więc ze stanowiska państwowego można co zarzucić hr. Taaffemu, to jedno chyba to, że za długo zwlekał z operacyą, że za długo łudził się nadzieją, iż Młodoczesi przecież zawahają się iść dalej ku przepaści i prowadzić w nią swój naród.

Ciężki cios dotknął piękną Pragę i jej ludność, dla której całą sympatyę żywimy; ale cios ten spaść musiał, bo inaczej nie uwolniłby się nigdy naród czeski z pod panowania wewnętrznego wroga jego własnej pomyślności. Niechże więc Czesi przyjmą ten cios z tem przeświadczeniem, że on tylko dla ich dobra. Bo przedewszystkiem doprowadzi on do tego, że młodoczeskie stronnictwo zmiecione zostanie z powierzchni Czech i już więcej nie odżyje; a nadto umysły w Czechach się uspokoją, gorączka ustanie, zdrowe, umiarkowane poglądy zaczną brać górę i po roku wszyscy patryoci czescy będą bardzo radzi, że przecież ten obrzydliwy peryod Gregrowski w historyi Czech został raz na zawsze zamknięty.

Armia francuska poniosła ogromną stratę. Jeden z najzdolniejszych jej jenerałów, szef sztabu głównego, twórca nowej organizacyi wojska francuskiego i nowego planu mobilizacyjnego, jenerał Miribel umarł przedwczoraj skutkiem nieszczęśliwego wypadku, jaki mu się zdarzył w sobotę. Bawił on na urlopie w posiadłości swej Chatelard koło Grenobli i wybrał się w sobotę konno w towarzystwie swego synowca na spacer. Naraz koń spłoszył się i skoczył w bok, a jenerał spadł, nogą jednak utkwił w strzemieniu. Koń popędził wlokąc za sobą jeźdźca. Synowcowi Miribela udało się wprawdzie powstrzymać konia, w zalako gdy podniesiono jenerała z ziemi był on bezprzytomny, a głowa strasznie była pokaleczona. Przeniesiono go do zamku Chatelard, gdzie przeleżał jeszcze 53 godzin w agonii, nie odzyskawszy więcej przytomności. Wezwani telegraficznie najsławniejsi lekarze orzekli, że nie ma ratunku. Niektórzy z nich utrzymywali, że Miribel podczas jazdy dostał ataku apoplektycznego i dla tego spadł z konia. — Wszystkie pisma francuskie boleją nad śmiercią jenerała, w którym upatrywano przyszłego wodza armii francuskiej i nazywają śmierć jego niepowetowaną stratą narodową. *Figaro* pisze w tej mierze: „Trzeba pamiętać o tem, że Miribel był tym człowiekiem, na którego liczono".

Zapowiedziane odwiedziny eskadry rosyjskiej wyprowadzają Francuzów z równowagi umysłowej. Codzień powstają nowe projekta, w jaki sposób najlepiej okazać Rosyi miłość i uwielbienie. Pisma paryskie ogłaszają subskrypcyę narodową celem godnego przyjęcia Rosyan. Każdy z marynarzy rosyjskich otrzymać ma od pań francuskich złotą spinkę z niezapominajką. Najdalej jednak idzie paryska rada miejska. Chce ona urzeczywistnić i rozszerzyć projekt, który zrodził się w jednem z pism humorystycznych i początkowo w całej Francyi z humorystycznej strony był traktowany. Jak wiadomo, po demonstracyi przed gmachem ambasady francuskiej w Rzymie zaproponowało żartem jedno z pism humorystycznych, aby bulwar włoski w Paryżu przezwać rossyjskim, gdyż Włosi nie są warci tego, aby jedna z najpiękniejszych ulic w Paryżu nosiła ich nazwę. Śmiano się z tego dowcipu, ale nikt go nie brał na seryo. Tymczasem rajcy miejscy w Paryżu inaczej się zapatrują na to i oto pewna ich grupa zamierza tymi dniami postawić formalny wniosek, aby nie tylko bulwar włoski przezwać rossyjskim, ale nadto, aby trzem innym ulicom, których nazwy przypominają zwycięstwa odniesione przez Francuzów na Rosyi, nadać nowe nazwy, przyjemniejsze dla ucha rosyjskiego. I tak wedle tego projektu ma bulwar sebastopolski nazywać się odtąd bulwarem Kronsztadzkim, „avenue Malakow" ma nazywać się ulicą admirała Avelane (komendanta eskadry rossyjskiej), a „avenue Alma" ulicą 13 października — na pamiątkę dnia, w którym eskadra rossyjska zawinie do portu w Tulonie.

Król Karol rumuński w rozmowie z pewnym dygnitarzem, którą miał tymi dniami, napiętnował agitatorów rumuńskich w Siedmiogrodzie i na Węgrzech jako indywidua, pracujące tylko w interesie Rosyi. Rzekł on dosłownie: „Nie mogę pojąć Rumunów siedmiogrodzkich i węgierskich. Zachowują się oni nieraz tak, jak gdyby woleli należeć do Rosyi aniżeli do Węgier. A temu wprost wierzyć mi się nie chce, nie mogę żadną miarą pojąć podobnych aspiracyi".

Protest przeciw wichrzeniom ks. Stojałowskiego.

Do protestów z dekanatów: bocheńskiego, mieleckiego, tarnowskiego, przeciw zgubnemu dla Kościoła i dobra publicznego działaniu ks. Stojałowskiego, przystępujemy niżej podpisani kapłani dekanatu radomyskiego:

Ks. Józef Michalik, proboszcz w Książnicach, dziekan radomyski; *ks. J. Krogulski*, proboszcz w Żdżarcu, notaryusz dekanatu; *ks. T. Turza*, proboszcz w Zasowie; *ks. A. Pasiut*, proboszcz w Radomyślu; *ks. Stanisław Gancarz*, proboszcz w Wadowicach Górnych; *ks. Fr. Czernecki*, proboszcz w Przecławiu; *ks. J. Kowalski*, proboszcz w Zgorsku; *ks. J. Zielonka*, prob. w Jastrząbce starej; *ks. A. Cebula* eksp. w Nagoszynie; *ks. J. Solak*, wikar. w Przecławiu; *ks. Flor. Gryl*, wikaryusz w Radomyślu; *ks. Melch. Zapała*, wikaryusz w Wadowicach Górnych; *ks. Kazim. Salewski*, wikaryusz w Zasawie; *ks. Wład. Kopernicki*, wikaryusz w Zasawie; *ks. Lud. Czapieński*, wikar. w Żdżarcu; *ks. J. Łopatowski*, wikar. w Zgorsku

KORESPONDENCYE.

Chicago 20 sierpnia.

Amerykę możnaby śmiało nazwać „krajem strejków", gdyż nie ma prawie dnia, aby nie nadeszła jakaś wiadomość o nowym strejku. Są między nimi i oryginalne, jak n. p. strejk popychaczy krzeseł na wystawie, jaki wybuchł onegdaj. Czterystu tych popychaczy zaprzestało obwożenia gości po wystawie, domagając się podwyższenia zapłaty. Otrzymywali oni dziennie 75 centów i 10 procent od należytości, pobieranej od pasażerów. Ponieważ w ostatnich czasach nie wiele osób zwiedzało wystawę, przeto popychacze zarabiali bardzo mało na procentach.

Obowiązki popychaczów są dość trudne, gdyż oprócz obwożenia pasażerów w fotelach na kółkach, muszą udzielać wszelkich objaśnień, odnoszących się do gmachów i przedmiotów w nich wystawionych. Każdy z popychaczów musi znać prócz angielskiego, także język francuzki i niemiecki. Są to ludzie wykształceni, po większej części studenci z uniwersytetów i kolegiów amerykańskich.

W pawilonie kobiet panuje ruch ożywiony. W tych dniach odbyło się tam ogólne zgromadzenie, na którem komitet nagród miał złożyć sprawozdanie. Atoli sekretarz komitetu, pani Ball, zanim przystąpiła do odczytania raportu, wniosła skargę na prezesa komitetu, panię Meredith, o to, że na posiedzeniach komitetu prawie nigdy nie bywała sama, tylko w zastępstwie swojem przysyłała siostrę, nie należącą wcale do komitetu. Pani Ball słusznie potępiła ten oryginalny sposób pojmowania i wykonywania obowiązków prezesowskich, a niezadowolnienie jej podzieliła znaczna liczba członków zgromadzenia. Aliści i pani prezes znalazła swoich zwolenników i obrońców, zebranie podzieliło się na dwa obozy i wszczęła się dyskusya, ale dyskusya tak żywa i głośna, że straż ogniowa, sądząc, że się stało jakie nieszczęście, pędem pod pawilon przybiegła. Wszyscy członkowie nie pytając o pozwolenie, zabierali głos jednocześnie, kto kogo przekrzyczy, i — nikt nikogo nie rozumiał. Odczytanie sprawozdania odłożono naturalnie na później. Niektórzy utrzymują, że w oznaczonym dniu jeszcze przed posiedzeniem, straż ogniowa zostanie umieszczona wewnątrz budynku, w celu gaszenia zbytniego żaru rozpraw parlamentarnych.

Działalność atoli załogi pawilonu niewieściego nie ograniczyła się na tem. Wybrano delegacyę do sprawdzenia, o ile przyzwoitemi są tańce wykonywane w Midway Plaisance przez tancerki z baletu paryskiego, na które płeć brzydka z podejrzaną uczęszcza skwapliwością. Delegacya przekonała się, że podejrzenia były słuszne i orzekła, że mianowicie kostyumy baletniczek są... niedostateczne. Z protestem atoli nie wystąpiono od razu, gdyż po wysłuchaniu raportu delegacyi, wszyscy członkowie niewieściego działu wystawy postanowili naocznie stwierdzić na miejscu skandaliczność baletniczych popisów.

Jednocześnie wydelegowano komisyę do oględzin „tańców wschodnich", wśród których rej wodzi i największe też wywołuje oburzenie tak głośny już z wystawy paryskiej *danse du ventre*.

Dziwna rzecz, iż dotąd nie słychać o komisyi do skontrolowania popisów choreograficznych, zwanych „tańcem słońca". Taniec to także grubo oryginalny w swoim rodzaju. Dwie nimfy czerwonoskóre tańcząc kaleczą się nawzajem nożami, tańcząc wykrawają sobie po kawałku ciała i tańcząc kawałki te zjadają. Brrr!... Wstrętnemu widowisku przygląda się kilkanaście tysięcy osób, a w tej masie amatorów wrażeń „estetycznych" płeć brzydka w znacznej znajduje się mniejszości.

Niewymownie przykre wrażenie odniosłem również, przypatrując się indyjskiemu „tańcowi torturowemu". Straszna ta ceremonia odgrywała się na tratwie pływającej po lagunie, a uczestniczyło w niej czterech Indyan, należących do szczepu Lsackahl. Ludzie ci zwyczajem barbarzyńskim pozwolili sobie pokrajać w pasy ciało na plecach; następnie wsunięto długie rzemienie pod te pasy, wykrajane z ciała. Końce rzemieni ujęli inni Indyanie i używając ich podobnie jak się używa lejców przy koniach rozpoczęli pędzić swoje ofiary po tratwie. Taniec ten trwał dość długo, poczem nagłym ruchem powyrywano rzemienie ze zbroczonych krwią pleców tancerzy a zwisłe pasy rozdartego ciała i dzikie twarze dobrowolnych ofiar wstrętny przedstawiały widok. Jeden z tancerzy, bólem przywiedziony do szału, rzucił się na tłumacza Forda i wpił mu zęby swoje w ramię. Potrzeba było pomocy kilku ludzi, aby otworzyć szczęki szaleńca. „Taniec torturowy" uprawiają niektóre plemiona Indyan w celu udowodnienia swej dzielności i wytrwałości, w każdym razie jest barbarzyńskim i w tak cywilizowanym kraju jak Ameryka wobec tysięcy publiczności tolerowanym być nie powinien. Ogólne też oburzenie panuje na dyrektorów wystawy, że dozwolili na publiczne przedstawienie podobnych okropnych męczarni.

Policyi wystawowej udał się w tych dniach połów nielada. Schwytano bowiem doskonale zorganizowaną bandę rzezimieszków, operującą na placu wystawowym a złożoną z 60 obywateli amerykańskich w wieku od lat 9 do 14!.. Doprawdy, ci Amerykanie niezmiernie wcześnie dojrzewają do wszystkiego, nawet do szubienicy!

To jeszcze wszystko nic. Do ważniejszego daleko odkrycia doprowadziły zeznania niejakiego Duggana, który przypadkiem podsłuchał zbrodniarzy, sprawców okropnego pożaru na placu wystawowym, niedawno przezemnie opisanego. Zaczęło się od kradzieży z olbrzymich składów, umieszczonych w lodowni, znajdującej się w budynku dziś zgorzałym. Należała do tego oczywiście i służba miejscowa. Interes szedł dobrze, więc rozszerzano go do coraz większych rozmiarów; w końcu jednak spostrzeżono, że ubytek poczyna być widocznym. Złoczyńcy postanowili zatem zatrzeć wszelki ślad swej gospodarki i podłożyli ogień w budynku. Resztę już wiemy. Potwory te nie znajdują się jeszcze w rękach sprawiedliwości; jest jednak nadzieja, że wszyscy schwytani zostaną, poczem zapewne będą mieli przyjemność na iskrze elektrycznej przejechać się na tamten świat.

Zestawiwszy powyżej zaznaczoną działalność komisyi niewieścich z działalnością niemowlęcych rzezimieszków i pełnoletnich rozbójników, z popisami artystek w Midway Plaisance, wreszcie z owym potwornym młynem djabelskim, o którym już pisałem, mającym stanowić pendent do wieży Eiffla, będziemy

3)

Sienkiewicz o Zoli.

(Ciąg dalszy).

„La Débâcle", jest mimo swych usterek znakomitą książką, ale żołnierze, którzy ją czytać będą, ustąpią tym, którzy nocami śpiewają psalm: „Chrystus zmartwychwstał!" Gdybym był Francuzem, uważałbym talent Zoli za narodowe nieszczęście i cieszyłbym się, że jego czas mija, że nawet najbliżsi uczniowie opuszczają swego mistrza i że coraz bardzej zostaje sam.

Czy przytem zostanie w pamięci ludzkiej, w literaturze, czy sława jego nie minie — przesądzać trudno, wątpić wolno. W cyklu Rougon-Macquartów są tomy istotnie potężne, jak „Germinal" lub „La Débâcle". Lecz w ogóle to, co wrodzony talent Zoli uczynił dla jego nieśmiertelności, to popsuło jego lubowanie się w brudnym realizmie i jego język wprost plugawy. Literatura nie może posługiwać się takiemi wyrażeniami, jakich wstydzą się między sobą nawet prostacy. Prawda realna, o ile chodzi o ludzi występnych, upadłych, o nędzarzy, da się osiągnąć innym sposobem, przez prawdopodobne oddanie ich stanów duszy, myśli, czynów, wreszcie przez tok ich mowy, ale nie przez cytowanie dosłowne ich przekleństw i najwstrętniejszych słów. Tak w doborze wyrazów, jak w doborze wyrażeń, istnieje pewna miara, wskazywana przez rozsądek i dobry smak. Zola ją przebrał do takiego stopnia („La Terre"), do jakiego nikt dotychczas nie śmiał się posunąć. Potworne płody, dlatego, że są potworne, skazane są na śmierć. Książka, która budzi obrzydzenie, musi być zarzuconą. To także leży w naturze rzeczy. Z dawnych utworów powszechnej literatury przeżyły zapomnienie płody grube, przeznaczone do budzenia śmiechu (Arystofanes, Rabelais itd.), lub rzeczy swawolne, ale pisane wykwintnie (Boccacio), nie przeżyła ani jedna obliczona na pobudzenie mdłości. Zola, dla rozgłosu, jaki powstawał z powodu jego książek, dla skandalu, jaki wywoływał każdy pojedynczy tom, zabijał swoją przyszłość. Zdarzyła się też wskutek tego dziwna rzecz, że on, człowiek piszący według ułożonego planu, piszący z rozmysłem, zimny i panujący, jak mało kto, nad przedmiotem, tworzył rzeczy najlepsze tylko wówczas, gdy miał jak najmniej sposobności do przeprowadzenia swoich planów, doktryn, sposobów, słowem wówczas, gdy jak najmniej panował nad przedmiotem, a jak najwięcej przedmiot nad nim.

Tak zdarzyło się w „Germinalu" i „La Débâcle". Ogrom socyalizmu i ogrom wojny zgniotły poprostu Zolę z całym jego aparatem umysłowym. Jego doktryny zmalały wobec takich rozmiarów i zaledwie je słychać w szumie powodzi, zalewającej kopalnię i przy huku dział pruskich. Został tylko talent. To też i w tej i w tamtej powieści są prawdziwie dantejskie karty. Z doktorem Pascalem stało się coś przeciwnego. Jako ostatni tom cyklu, musiał on być ostatecznym wnioskiem, wyprowadzonym z całego dzieła, syntezą doktryny, wieżycą kończącą gmach. Z tego powodu więcej się w nim mówi o doktrynie, niż w którymkolwiek z poprzednich tomów, że zaś doktryna jest zła, licha, fałszywa i marna, przeto i „Docteur Pascal" jest najlichszą i najnudniejszą książką z całego cyklu Rougon-Macquartów. Szereg kart pustych, jałowych, na których nuda bierze się za ręce z brakiem zmysłu moralnego, bladość obrazów z fałszem — oto „Le docteur Pascal".

Zola chce go mieć porządnym człowiekiem. Jestto wyrodek z Rougon-Macqartów. W dziedziczności trafiają się takie szczęśliwe wyrodzenia, doktor wie o tem, sam uważa się za błogi wyjątek i jestto dla niego źródłem nieustającej wewnętrznej pociechy. Tymczasem kocha ludzi, służy im i zastrzykuje ich wynalezionym przez siebie płynem, który jest walnym środkiem na wszelkie dolegliwości. Jestto słodki mędrzec, który bada życie, więc zbiera „dokumenta ludzkie", buduje mozolnie drzewo genealogiczne rodzin Rougon-Macquartów, których sam jest potomkiem, i na mocy swych obserwacyi dochodzi do takich samych wniosków, jak Zola. Do jakich? Trudno na to odpowiedzieć; oto mniej więcej, że jak kto nie jest zdrów, to zwykle bywa chory, i że dziedziczność istnieje, ale że matki lub ojcowie, pochodzący z innych rodzin, mogą wnosić do krwi dzieci nowe pierwiastki, tak, iż dziedziczność może być modyfikowaną do takiego stopnia, że ściśle biorąc nie istnieje.

Doktor Pascal jest przytem pozytywistą. Nie chce nic przesądzać, ale twierdzi, że dzisiejszy stan wiedzy nie pozwala na wyprowadzanie dalszych wniosków nad te, które na mocy obserwacyi faktów znanych wyprowadzić się dadzą, więc też tych należy się trzymać, reszty zaniechać. Pod tym względem przesądy jego nie mówią nam nic nowszego od artykułów dziennikarskich, pisanych przez młodych pozytywistów. Dla ludzi, którzy się rwą, dla tych potrzeb duchowych, tak silnych, jak głód i pragnienie, z mocy których człowiek odczuł takie pojęcia, jak Bóg, wiara, nieśmiertelność, doktor ma tylko uśmiech politowania. I możnaby mu się nieco dziwić. Rozumiałoby się go lepiej, gdyby nie uznawał możności rozwiązania różnych oderwanych pytań, ale on twierdzi, że i potrzeba nie istnieje — przez co grzeszy przeciw oczywistości, bo oto potrzeba taka istnieje, nie dalej jak pod jego własnym dachem, w osobie jego siostrzenicy. Ta młoda osoba, wychowana w jego zasadach, traci nagle grunt pod nogami. W duszy jej zrodzi się więcej pytań, niż tyle, na ile doktor może odpowiedzieć. I z tą chwilą poczyna się dramat dla nich obojga.

— Ja na tem nie mogę poprzestać — woła siostrzenica — ja się dławię, ja muszę coś wiedzieć, czegoś być pewną, a jeśli twoja nauka nie może tej mojej nieprzepartej potrzeby zaspokoić, tedy idę tam, gdzie mnie nietylko uspokoją, nietylko wszystko wytłómaczą, ale uczynią szczęśliwą — idę do kościoła!

I idzie. Drogi mistrza i uczennicy rozchochodzą się coraz bardziej. Uczennica dochodzi do przekonania, że ta nauka, która jest tylko pętlią na szyję ludzką, jest wprost złą i że zasługą przed Bogiem byłoby spalić te szpargały, w których doktor zapisuje swoje spostrzeżenia. I dramat spiętrza się, bo mimo sześćdziesięciu lat doktora, a dwudziestu kilku Klotyldy, tych dwoje ludzi kocha się, nietylko tak, jak kochają się krewni, ale jak mężczyzna i kobieta. Ta miłość dodaje goryczy walce i przyśpiesza katastrofę.

Pewnej nocy doktor chwyta siostrzenicę na zbrodni. Oto dobrała się do jego szafy, powyciągała szpargały i gotuje się je spalić. Wtedy poczynają się bić. Piękny obraz! On w bieliźnie, ona w gieźle nocnem i ciągają się za czupryny, szarpią się, drapią. On jest mocniejszy, a ona, jakkolwiek wyłomotał ją i pokrwawił, odczuwa pewną przyjemność w tem doświadczeniu na własnej dziewiczej skórze siły męskiej. I w tem jest cały Zola. Ale słuchajmy, bo chwila stanowcza zbliża się. Sam doktor, wysapawszy się nieco, zapowiada ją uroczyście. Czytelnika zdejmuje dreszcz. Czy doktor siłą swego geniuszu rozedrze nocne niebo i pokaże jej pustkę nad gwiazdami, czy siłą wymowy zwali w proch jej kościół, jej wierzenia, jej porywy, jej nadzieje? Mimowoli przychodzi na myśl wiersz:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

W ciszy odzywa się niski głos doktora:

— Nie chciałem ci tego pokazywać, ale tak dłużej żyć nie można, więc czas nadszedł. Podaj mi drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów.

Co? Co?

Tak jest! Drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquartów! W ciszy zaczyna się czytanie: Była sobie Adelaida Fouque, która miała męża Rougona, a przyjaciela Macquarta. Z Rougona urodził się Eugeniusz Rougon, takoż Sydonia, takoż Marta. A z Arystydesa urodził się Maksym, takoż Klotylda, takoż Wiktor, a z Maksyma urodził się Karol i na tem koniec, lecz Sydonia miała córkę Anielę a Marta, która poszła za Moureta, który pochodził z Macquartów, miała troje dzieci itd.

Noc przechodzi, blednie, a czytanie trwa. Po Rougonach przychodzą Macquartowie — później potomstwo obu połączonych rodów. Idzie imię za imieniem, nazwisko za nazwiskiem. Występują źli, występują dobrzy, występują obojętni, występują wszelkie stany, od ministrów, bankierów, wielkich kupców, aż do prostych żołnierzy, albo drapichrustów bez zajęcia — wreszcie doktor przestaje czytać — i spojrzawszy swemi oczyma mędrca na siostrzenicę, pyta:

— No, i cóż teraz?

A piękna Klotylda rzuca się w jego objęcia.

— *Vicisti! vicisti!*

I jej Bóg, jej wiara, jej kościół, jej porywy ku ideałom, jej potrzeby ducha, rozsypują się w proch.

Dlaczego? Na mocy jakiego ostatecznego wniosku, dla jakiej dobrej racyi? Co ją mogło w tem drzewie przekonać, co wywrzeć jakiekolwiek inne wrażenie, prócz wrażenia nudy? Dlaczego z ust jej nie wyszło pytanie, które narzuca się nieprzeparcie czytelnikowi: „A więc cóż z tego?" — niewiadomo. Nie zdarzyło mi się nigdy zauważyć, by jakikolwiek autor, z przyczyny tak błahej i tak ubocznej, wyprowadzał tak wielkie i bezpośrednie skutki. Jest to coś tak zdumiewającego, jak gdyby Zola kazał rozpaść się w proch wierze i zasadom Klotyldy, na skutek przeczytania jej przez doktora kalendarza, przewodnika kolejowego, listy potraw lub katalogu jakiegoś muzeum.

(Dokończenie nastąpi).

mieli może nie zupełny obraz wielkiej szopki chicagoskiej, lecz zastanowiwszy się nad tem wszystkiem, zdziwimy się niepomału, że ekspozycya tego szczytu humbugu amerykańskiego, według dziś już przeprowadzonych przypuszczalnych obliczeń, wykonawcom swoim tylko dziesięć milionów dolarów straty przyniesie, z której połowa przypadnie na miasto Chicago a połowa na akcyonaryuszów. Czyż można taniej światem zamącić i olbrzymi blichtr mu w oczy rzucić?

Nie rozumiem dlaczego na tej ogromnej arenie narodowej blagi yankesi nie urządzają od czasu do czasu sceny lynchu, tego czysto narodowego amerykańskiego produktu. Lynch — to samowolne wykonanie kary śmierci przez motłoch na ludziach będących przedmiotem jego wściekłości, wywleczonych częstokroć z więzienia, gdzie oczekiwali na wyrok legalnej sprawiedliwości.

Widzom, którzy biją brawo szalone tancerkom, zjadającym w tańcu własne ciało, przedstawienia takie przypadłyby niezawodnie do smaku i mogłyby o jaki milion dolarów straty na przedsiębiorstwie wystawowem obniżyć. Że zaś to jest instytucya ultranarodowa, dowodzą tego daty statystyczne. W r. 1887 wykonano w Stanach Zjednoczonych 79 wyroków śmierci sądowych, zlynchowano 123 ludzi, w r. 1888 kat wyprawił na tamten świat 87 delikwentów, lynch uśmiercił 144, w r. 1889 kat 92 lynch zaś 232 i t. d. Czyż więc w obec tego, te kilka lub kilkanaście małych egzekucyi lynchowych na wystawie zrobiłoby znów tak wielką różnicę w statystyce cnót amerykańskich? A jakby urozmaiciły scenaryusz wystawy humbugu!

Na zakończenie parę słów o naszych rodakach i ich postępach na polu handlu i przemysłu.

Z dziedziny przemysłu więc, mam do zanotowania fakt, iż wieść o odkryciu kopalni złota w Slasta County w Kalifornii przez naszego rodaka, inżyniera Modesta Marjańskiego, w której podejrzywano ogólnie zwykły humbug, sprawdziła się jednakże. W tych dniach bowiem zawiązało się celem eksploatacyi kopalni, która będzie nosić nazwę „Original Quartz Hill Gold Mine“, towarzystwo akcyjne, do którego należą sami Polacy z p. Kiołbassą na czele. Kapitał zakładowy wynosić ma dwa miliony dolarów w akcyach po sto. Na razie potrzeba tylko pół miliona, akcye więc, opiewające na sto, sprzedawane są po 25 dolarów, a rozkupują je ochoczo sami prawie Polacy. Dyrektorowie sądzą, iż dalszych wkładów nie będzie potrzeba, gdyż według badań i obliczeń kompetentnych i sumiennych rzeczoznawców, którzy dokładnie badali teren, kopalnia zawiera ogromną ilość złotodajnego kruszcu i według wszelkiego prawdopodobieństwa, kapitał zakładowy zwróci się już w pierwszym roku eksploatacyi. Oby tylko nadzieja nie zawiodła.

W tych dniach na ogólnej sesyi zamknięcia międzynarodowego kongresu inżynierów, przemawiał p. Feliks Rycerski, inżynier z Warszawy, wychowaniec szkoły centralnej w Paryżu. Mowę jego przerywano kilkakrotnymi oklaskami. W przemówieniu swem oddał p. Rycerski wysokie uznanie zdolnościom architektonicznym i inżynierskim Amerykanów. Po ukończeniu został zaproszony do zajęcia honorowego miejsca na estradzie, gdzie zasi[illegible], komitet, oraz reprezentanci [illegible]. W ogóle trzeba przyznać, iż Polacy, o ile naturalnie nie wyznają zasad blagi i humbugu, są przez Amerykanów przyjmowani nader życzliwie i serdecznie.

Wychodźtwo z Galicyi.

(*Sprawozdanie przedstawione III Zjazdowi Prawników i Ekonomistów polskich w Poznaniu przez dra Józefa Kleczyńskiego*).

II.

Wypada nam się teraz zająć sprawą emigracyi ludności galicyjskiej za morze — do Ameryki. Ruch ten rozpoczął się w dwóch kierunkach: do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i do Brazylii.

Inicyatywę do emigracyi do Brazylii miał dać w r. 1873 ks. misyonarz Orzechowski, który przyjechał do Biecza w odwiedziny do brata i tu namawiał ludność, aby się przeniosła do prowincyi Curitiba, gdzie dostanie grunta w dostatecznej ilości. Wielu usłuchało tej rady i przeniosło się do Brazylii, gdzie ks. Orzechowski istotnie gorliwie zajął się ich losem. Emigracya tam dotąd nie ustaje bynajmniej, a ma zawsze na celu stałe osiedlenie się. Wynoszą się tam gospodarze, przeważnie zamożni, z rodzinami. Ruch do południowej Ameryki jest bardzo niewielki, gdyż jest połączony z ryzykiem i wymaga sporego zasobu kapitału.

Inaczej ma się rzecz z ruchem do Stanów Zjednoczonych; udają się tam zwykle zarobnicy albo gospodarze ubożsi, rzec można ludzie bez majątku, choć niezupełnie biedni, a więc wieśniak, który otrzymał małą spłatę przy podziale ojcowizny, właściciel małego kawałka gruntu, gospodarz obdłużony, który obawia się sprzedaży swej własności i t. d. Za nimi zdąża pewna liczba wyrobników, którzy uzyskali kredyt na drogę. Rzemieślnicy udają się tam także, lecz nie tak licznie. Z mieszczan najwięcej do Ameryki przesiedla się żydów. Najwięcej powodzenia mają ludzie nie specyalnie wykształceni, ale ludzie silnych ramion, prości wyrobnicy. Za ocean podążają oni najczęściej z zamiarem powrotu — na zarobek. Podróż daleka i kosztowna jest przyczyną, że pozostają w Ameryce zwykle trzy lata i powracają, puszczając się nie rzadko na powtórną wędrówkę. Czasowa ta emigracya włościańska nierzadko zmienia się w stałą, jeżeli wychodźca tam się ożeni lub cieszy się dobrem powodzeniem, albo wreszcie, gdy w starym kraju dopuścił się jakiego karygodnego przekroczenia ustawy sądowej lub wojskowej.

Pobudką główną do przenoszenia się za morze, jest nizki zarobek u nas, nie przewyższający 30 centów dziennie, gdy tymczasem w Stanach Zjednoczonych można zarobić od jednego do trzech dolarów dziennie i robić oszczędności. Pobudki moralne nie są przyczyną emigracyi, ale do niej dopomagają. Oddalenie od swych byłoby motywem powstrzymującym, a z listów wychodźców przekonać się można, że tęsknią oni za krajem i rodziną. Uskarżają się również na brak kościołów i życia religijnego, pociąga ich jednak prawdziwa równość wobec prawa i brak szykany władz.

Moralny wpływ tych wędrówek rozmaicie bywa oceniany. Zmateryalizowanie najczęstszym bywa zarzutem, wielu księży jednak zeznaje, że wychodźcy po powrocie idą do spowiedzi, że przesyłają z Ameryki pieniądze na msze lub dary na kościół, co dowodzi, że osłabienie wiary nie jest powszechnem ani stałem. Natomiast pod względem narodowym wychodźtwo raczej utrwala poczucie polskości. W obec obcych solidaryzuje się z sobą ludność polska i nabiera silnego poczucia swej narodowości. Praca w Ameryce jest wyczerpująca i zdarza się, że po kilkuletnim pobycie w Ameryce wychodźca powraca ze zdrowiem zrujnowanem, najwięcej narzekają ci, którzy musieli pracować w kopalniach.

Obecnie zachętą do emigracyi są „listy i dolary ameryckie“. Widząc, jak biedni ludzie znaczne sumy nadsyłają z za morza, nabierają inni ochoty do szukania tam zarobku.

Ruch do Stanów Zjednoczonych obejmuje głównie środek kraju po obu stronach Wisłoki i Wisłoka, główne zatem wychodźtwo pochodzi z powiatów jasielskiego, krośnieńskiego, sanockiego, brzozowskiego, rzeszowskiego, ropczyckiego, kolbuszowskiego, mieleckiego, tarnowskiego, pilzneńskiego, gorlickiego, grybowskiego i nowo-sądeckiego. Z Galicyi wschodniej emigrują najczęściej żydzi.

Objąwszy całość ruchu, możemy przyjść do przekonania, że w Galicyi nie istnieje wychodźtwo w tem znaczeniu, aby ludność opuszczała kraj na zawsze. Taki ruch wprawdzie objawia się, ale zawsze niesystematycznie bądź na wschód Galicyi, bądź do Rosyi, Węgier, lub południowej Ameryki.

Stałym i systematycznym w ludności galicyjskiej jest ruch robotniczy, klasy niewykształconej i wyrobników wiejskich, którzy stanowią znaczny bardzo i rosnący zastęp ludzi. Udają się oni do miast na stały pobyt lub puszczają się na dalekie wędrówki, zawsze jednak z zamiarem powrotu. Powrót ze stron bliższych, przy zarobku krótkotrwałym, istotnie jest częstym, ze stron dalszych powraca tylko część, a reszta skrępowana zarobkiem lub okolicznościami, pozostaje na miejscu. Wskazuje na to rosnąca liczba ludności galicyjskiej po za granicami kraju, szczególniej w Stanach Zjednoczonych.

Ruch ten robotniczy wymaga opieki ze strony społeczeństwa, które się nim dotychczas wcale nie zajmuje. Robotnik pozostawiony sam sobie, szuka zarobku bądź napróżno, bądź ponosi niepotrzebne wydatki lub ciężary, które obniżają jego dochód. Do Stanów Zjednoczonych udają się robotnicy zwykle na podstawie informacyi od poprzednich wychodźców otrzymywanych. Listy te powstrzymują lub zachęcają do wędrówki, w miarę łatwiejszego lub trudniejszego zarobku. Wycieczka tak daleka bywa więc przedsiębraną z pewną ostrożnością, wychodźca walczy z trudnościami stawianemi przez władze, co zmusza go do używania środków nielegalnych lub szukania pośredników, wyzyskujących jego położenie.

MAŁY FELJETON.

Podróże poślubne.

Jeden z dzienników paryskich wystosował do swych czytelniczek zapytanie, jakie mają zdanie o podróżach poślubnych. Pytanie to było sformułowane w ten sposób: „czy w ogólności kobiety są za, czy przeciw podróżom poślubnym?“ Odpowiedzi, jakie nadeszły, stanowią co do swej jednomyślności, bezwzględne i bezlitośne potępienie tych podróży. W niektórych odpowiedziach brzmi nuta silnego podrażnienia, którego ani lata, ani czas zatrzeć nie zdoła; w innych przebija się melancholia, jako czynnik widać bolesnego rozczarowania, które przyniosły piszącej miesiące miodowe — ale wszystkie wyraźnie i stanowczo są przeciwne dłuższemu zachowywaniu tego niczem nie usprawiedliwionego zwyczaju. Podajemy tu kilka tego rodzaju listów.

„Wszystkie kobiety, pisze jedna, znają doskonale ów okropny peryod czasu, gdy się jest zaręczoną, wszystkie znają stan wzburzenia, jakie opanowuje nas w ostatnich dniach przed ślubem. A chwila samego ślubu!...

Obudzono mnie o świcie owego dnia, zresztą nie wiem wcale, czym choć cokolwiek spała. Już o godzinie siódmej rano rozpoczęłam moją męczącą toaletę, gdyż punktualnie o dwunastej miał się ślub odbyć. Co prawda spóźniłam się nieco z ubiorem, byłam gotową zaledwie na godzinę pierwszą, ale to nie było moją winą. W kościele oczekiwali nas już goście. Przyjechałam tam zmęczona i rozstrojona, że zaledwie zrozumieć mogłam, co do mnie szeptały moje najserdeczniejsze przyjaciółki. Pamiętam tylko, że jedna mówiła:

— Źle wyglądasz w białym stroju.

— To prawda moja droga — odrzekłam — ale to nic dziwnego, gdyż biały strój w czasie dnia jest najcięższą próbą, na jaką może być wystawiona cera kobieca.

Wreszcie skończyło się wszystko. Twarz pałała mi od pocałunków, jakie na niej starsze panie składały. Nie odpocząwszy nawet godzinki, musiałam jechać na śniadanie, zmieniwszy wprzódy z nadzwyczajnym pośpiechem moją toaletę. Z obiadu wprost udałam się do wagonu... przyznacie, że to jest strasznie pospolite i wstrętne. Służba, która się koło nas kręciła, nazywała mnie panną, pomimo mej twarzy, na którą starałam się przybrać powagę mężatki. Mąż mój śmiał się z tego, a mnie się na płacz zbierało.

Do pierwszego hotelu, w którym stanęliśmy, była wysłana wprzódy panna służąca, ażeby wszystko na nasze przybycie przygotować. Skorzystała z tego, żeby wszystkim opowiedzieć historyę mego życia. Służba i podróżni wiedzieli więc o mem przybyciu, oraz o tem, że tegoż dnia ślub mój się odbył, że jestem bardzo młoda i że moje małżeństwo jest prawdziwem małżeństwem z miłości. A przytem każdy obejrzał moje kufry i całą moją wyprawę.

Przybywszy musiałam przejść przez ogień krzyżowy niedyskretnych oczu, tak, że cała byłam w płomieniach, zażenowana. Obejrzano mnie od stóp do głów.

Pomimo kwiatów, jakiemi mój pokój ustrojono, pomysł, który mnie nabawił bólu głowy, mieszkanie było szkaradne Jakto? mówiłam sobie — to ma być mój pokój małżeński, mój kącik, w którym jako żona po raz pierwszy mam przebywać! Uczułam się osamotnioną, obcą w tej pustej i brzydkiej izbie. Nieskończony smutek ogarnął moje serce, miałam łzy w oczach, gdy pierwszy pocałunek męża spoczął na mych ustach.

Nazajutrz nie śmiałam się ruszyć, albo wyjść, wszystkich oczy były ciekawie we mnie wlepione. Nigdy nie doznawałam takiego uczucia wstydu.

Takiemi były pierwsze wrażenia mego małżeństwa i nie chcę, by moja córka czegoś podobnego doznawała. Jeżeli będzie chciała odbyć podróż poślubną, nie będę miała nic przeciw temu, ale dopiero w kilka tygodni po ślubie. Nigdy się nie zgodzę na to, by była wystawiona na obelżywe wejrzenia i szepty hotelowej służby i gości.“

Drugi list brzmi tak:

„Co do mnie stanowczo jestem przeciwną podróżom poślubnym i to z przyczyn następujących: naprzód, nie widzę w tem żadnej przyjemności; jeżeli miłość wchodzi w grę, to cóż znaczą w takim razie piękne widoki lub cudowne okolice? One do samej miłości nic nie dodają, i tak samo można się kochać w domu, jak we Włoszech lub Szwajcaryi.

Powtóre, podróże poślubne połączone są z mnóstwem niewygód, o których bardzo dużo możnaby powiedzieć. Poprzestaję na tem tylko, o czem wiem z doświadczenia, że źródłem niezadowolenia wzajemnego małżonków, późniejszych niezgód a nawet rozwodów, są w wielu razach podróże poślubne. Czyż nie dość ta biedna nowo-zaślubiona ma wzruszeń w owym dniu, nie dość łez przy rozstaniu się z rodziną, bo każda dziewczyna choćby najbardziej zakochana w swym narzeczonym, musi uczuć pewien żal, gdy za nią zamykają się drzwi domu rodzicielskiego — czyż tego wszystkiego nie dosyć? Czyż trzeba jeszcze włóczyć się od hotelu do hotelu z twarzą zmęczoną i oczami spuszczonemi, trzeba ogromne przebywać przestrzenie przy nerwach rozdrażnionych, co jest koniecznym stanem poślubnym, na które jedynem lekarstwem jest spokój i cisza?

Biedna kobieto, która w samym początku swego małżeństwa musisz cierpieć, powróć do siebie i zostań w swem małem mieszkanku, wśród swych mebli i pamiątek rodzinnych i podarunków ślubnych. Co cię obchodzi Szwajcarya lub Włochy, co cię obchodzą góry i jeziora, których widok opłacić musisz znużeniem. Co cię obchodzą piękności natury, skoro kochasz i jesteś kochaną?

Dla użycia przyjemności podróży później jest aż nadto czasu. Cuda natury i sztuki nie zginą i zawsze je uwielbiać będziesz mogła, gdy nabędziesz więcej doświadczenia, wykształcisz sobie smak, a głowę masz zajętą rzeczami poważniejszemi.

Co się zaś tyczy kwestyi konwenansu, to sądzę, że o wiele jest rozumniej nie naśladować tłumów, nie rzucać się w wir podróży, ale cicho i spokojnie stać na samotnej ścieżce i stanowić wyjątek od zwyczaju ogólnego.“

W trzeciej odpowiedzi napotykamy taki wykrzyknik melancholijny:

„O! ta podróż poślubna do Włoch, leży mi dotąd jak kamień na sercu!

Najprzód nie widziałem w niej wcale Włoch. Przez pięć długich tygodni jeździliśmy po tym niby pięknym kraju, ale w czasie nieustannych deszczów, tak, że ciągle musieliśmy przesiadywać w numerach hotelowych. W tych obrzydliwych karawanserajach, które stały się dla mnie czemś niesłychanie wstrętnem, ciągle mnie oglądały oczy różnych ludzi. Pragnęłam się pod ziemię zapaść. Dziś gdy badam me serce, mam nieustanny żal do mego męża, że mię wywlókł na tę podróż poślubną.

Z jakiem uczuciem radości powitałam dzień, w którym on mi oznajmił, że wracamy do naszego gniazda, do tego uroczego gniazdka, które tkliwą dłonią matki zostało usłane, do naszego domu, którego nigdy nie powinniśmy byli opuszczać... Później znów zwiedzałam Włochy, a wtedy mąż mój chciał jak najprędzej wracać do domu. Czemuż tego nie chciał za pierwszym razem?“

Inny list mniej więcej to samo powiada i tak się kończy:

„Młode małżonki, zerwijcie z tym głupim i śmiesznym obyczajem, tą modą niczem nieusprawiedliwioną i wyrzeczcie się wszelkich podróży poślubnych. Nie rozpraszajcie po wszystkich hotelach Włoch, pięknych, słodkich wspomnień, których już nigdy nie doznamy. Czyż nie lepiej te wspomnienia napotykać co chwila we własnym domu, niż w miejscach, w których już nigdy nasza noga nie postanie?“

A jeszcze jedna z mężatek tak pisze:

„Cieszyłam się z mej podróży poślubnej, wydawała mi się ona czemś bardzo przyjemnem i upierałam się przy tem, żeby ją odbyć pomimo rad mych rodziców. Wróciłam z niej znużona, rozdrażniona, prawie chora; o wiele byłoby lepiej zostać w domu“.

KRONIKA.

Lwów 14 września.

Odznaczenie. Panna Kazimiera Wiśniewska, Polka, otrzymała w szkole sztuk pięknych w Rouen cztery nagrody „hors concours“ w dziale anatomii, historyi, sztuki i kompozycyi ornamentalnej.

Konkursa. Rada gminna m. Kałusza ogłasza konkurs na posadę weterynarza miejskiego. Podania należy wnieść do 15 października rb.

Ze sfer adwokackich. P. Andrzej Kos wpisany został na listę adwokatów z siedzibą we Lwowie.

Uroczyste poświęcenie sklepiku chrześcijańskiego i Czytelni ludowej, założonej staraniem hr. Scipiona, odbyło się dnia 3 b. m. w Łopuszce wielkiej, w pow. łańcuckim.

Festyn Sokoła odbędzie się na górze zamkowej w niedzielę dnia 17 września b. r.

Zjazd prawników i ekonomistów w Poznaniu. Wczoraj o godzinie 11 przed południem odbyło się w sali teatru drugie pełne posiedzenie, na którem złożono przedewszystkiem sprawozdanie z obrad i uchwał sekcyi, poczem nastąpiły zapowiedziane odczyty. Wieczorem odbyło się w teatrze galowe przedstawienie, po niem zaś raut w sali bazarowej.

Wykolejenie pociągu. Dnia 11 bm. wykoleił się pociąg osobowy dążący z Bielska do Wadowic. Wóz pakunkowy został zdruzgotany, trzy przedziały wagonu osobowego uszkodzone. Konduktor pocztowy, palacz i 7 podróżnych są ranni.

Spadek ceny srebra. Węgierskie ministeryum finansów zniżyło cenę, po której mennice rządowe nabywają srebro na monety, na 57 złr. za kilogram. Dotychczas płaciły mennice 90 złr. za kilogram. Spodziewają się, że niebawem także austryackie ministeryum finansów wyda takie same zarządzenia.

Rusini w Stryju wnieśli do Rady miejskiej podanie, w którem odzywając się „do poczucia sprawiedliwości i słowiańskich uczuć reprezentacyi miejskiej, proszą, aby: 1) dotychczasowe napisy ulic usunięto i zastąpiono je napisami w dwóch językach: polskim i ruskim i 2) aby trzy ulice dotąd nazwy nie mające (petycya wymienia je dokładnie) otrzymały nazwiska trzech pierwszorzędnych pisarzy i poetów ruskich: Szewczenki, M. Szaszkiewicza i Fed'kowicza.“

Diło donosząc o tem, pisze, iż w razie gdyby polska większość stryjskiej Rady miejskiej petycyi tej nie uwzględniła, to Rusini opierając się na paragrafie 19 konstytucyi, będą dochodzili prawa swego przez wszystkie instancye.

Owoż słusznie zwrócono uwagę, że jakkolwiek mogą być w Stryju mieszkańcy, którzy pragną tego, o co petycya powyższa prosi, to jednak ci co petycyę układali, widocznie mają na celu nie zadośćuczynienie jakowemu słusznemu życzeniu, ale wprost wywołanie borby, inaczej bowiem nie apelowaliby do jakichś „słowiańskich uczuć“ reprezentacyi miejskiej, których żaden artykuł konstytucyi austryackiej, żadna ustawa, żadne rozporządzenie nie zna, a które to „słowiańskie uczucia“ nie są pojęciem określonem — bo nikt nie powie, czy to słowianizm Libelta i Palackiego, czy też Katkowa i Pobiedonoscewa!

Z Doliny donoszą nam: Prawybory na posła do Sejmu rozpoczynają się w naszym powiecie dnia 15 bm. Ze wszystkich wymienionych w różnych pismach kandydatów, jedynie kandydatura p. Wincentego Witosławskiego, marszałka powiatowego, jest aktualną i rzec można, jedynie możliwą, ponieważ p. Witosławski jako prezes Rady powiatowej i długoletni członek Wydziału powiatowego dał się poznać ludności wiejskiej z jak najlepszej strony i posiada jej sympatye.

Strejk murarzy już się skończył. Bastujący przyjęli warunki postawione przez majstrów i dziś wszyscy stanęli do pracy.

Handlarze dziewcząt. Dnia 8 b. m. przyaresztowała policya w Stanisławowie niejakiego Feiwla Hermanna, który wraz z swą żoną trudnił się pośrednictwem w wywożeniu dziewcząt na wschód.

W Lozannie odbywa się kongres międzynarodowy przeciw literaturze niemoralnej. Przybyli delegaci licznych państw.

W szkole c. k. leśniczych w Bolechowie ukończyli dnia 30 sierpnia tegoroczny kurs następujący uczniowie: a) z postępem bardzo dobrym: Wiktor Maż, Józef Wabitsch, Adam Tuszyński, Aureli Wittemberski, Mieczysław Kuryłowicz, Aleksander Cerkiewicz, Tadeusz Bodakowski; b) z postępem dobrym: Stefan Głowacki, Teodozy Grabowiński, Eugeniusz Poluszyński, Tadeusz Piotrowski, Adolf Spanily; c) z postępem dostatecznym: Juliusz Bockenheim, Gustaw Lesser, Bazyli Julian Krochmaluk, Emil Kozłowiecki.

Przypomnienie. Już na trzech wystawach miała sztuka polska swój osobny oddział: w Berlinie, w Wiedniu (na wystawie muz. tertr.) i w Chicago. W roku przyszłym przypada znowu w Wiedniu wielka międzynarodowa wystawa, więc należałoby zawczasu pilnować, aby porozumieć się i uzyskać osobny polski oddział, czyli takie ugrupowanie utworów naszych artystów, żeby tworzyły odrębną całość, żeby tem samem właściwości naszej sztuki na jaw wyszły. Za tem idzie, że w katalogu wystawy polskie utwory tworzyłyby także osobną całość. Ażeby to uzyskać, gdy nie ma państwa, któreby do tego miało prawo, jest tylko jeden sposób: utworzyć w Wiedniu osobny komitet dla sztuki polskiej — komitet, któryby był jedynym pośrednikiem między naszymi artystami z Krakowa, ze Lwowa, z Poznania, z Warszawy, z Monachium, z Paryża, z Rzymu, a dyrekcyą Künstlerhausu. Komitet taki miałby prawo stawiać warunki, umawiać się o salę i zarządzić sam rozwieszanie obrazów. Prawo rozwieszania jest bardzo ważnem, gdyż na złem rozwieszaniu zawsze nasi artyści cierpią. Do komitetu takiego powinniby należeć artyści i delegaci naszych Towarzystw sztuk pięknych, ale zarazem dwóch, lub trzech wybitnych wiedeńskich recenzentów, jak n. p. Ranzoni i Hevesi. Komitet taki w porę zawiązany i należycie umocowany, byłby w stanie uzyskać wszystko, czego potrzeba i wytworzyłoby się nasze zwyczajowe prawo.

Może zechcą inne dzienniki powtórzyć to przypomnienie.
Alf. S.

Uwagi Hucuła. Jeden z naszych prenumeratorów pisze nam z Żabiego:

Ponieważ Huculi są sympatyczni i uprzejmi, więc często wdaję się z nimi w dyskusyę. Owóż jeden z nich w rozmowie tak mnie powiedział, — a to co powiedział, radbym, ażeby więcej ludzi wiedziało. „Ten Wydział krajowy — rzekł chłop — to musi mieć dobre chęci, ale szkoda, że siedzi we Lwowie w pięknym pałacu i nie zbada sumiennie rzeczy, którą robi ażeby na prawdę dobrze zrobił. Wziął sól i oddał ją w ręce nasze lub panów i myśli, że nam dużo zrobił, a my się martwimy, bo

---

74)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Że to nie była wizyta zwyczajna, o tem był aż nadto przekonany; chodziło mu tylko o to, czy sam, sposobem swego powitania ma to przekonanie ujawnić, czy też zostawić pierwszeństwo gościowi. Zdecydował się na to ostatnie. — Odwleczmy wybuch melodramatycznej petardy dopóki się da, pomyślał i otworzył drzwi.

Tadeusz powstał na jego widok. Kochanek Klotyldy zbliżał się ku niemu w eleganckim porannym stroju, ze zwykłą sobie niedbałą swobodą, z apatycznie uprzejmym uśmiechem na ustach i ręką tak umiejętnie niby wyciągniętą, a jednak nie wyciągniętą, że za najlżejszą oznaką strony przeciwnej, zdradzającą chęć nie przyjęcia jej, mogła jedną nieznaczną zmianą położenia uniknąć tego afrontu.

Jakoż młody Daleniecki już mu się kłaniał zdaleka poważnem skinieniem głowy. Marceli wykonał ową nieznaczną zmianę położenia ręki, przystanął na środku gabinetu i ukłonił się także. Postawa jego wyrażała grzeczne, trochę zdziwione pytanie. Mierzyli się wzrokiem przez chwilę.

— Panie de Soligny-Kierczyński — ozwał się Tadeusz, a głos jego był także zmieniony, pełniejszy jakiś, lecz zarazem mniej metaliczny. — Przed paru tygodniami miałem pojedynek z kuzynem pana, panem Karolem Bystrzeckim.

— Wiem o tem!

— W takim razie domyślasz się pan zapewne, — tu zawiesił głos na chwilę — powodu tego pojedynku?

De Soligny-Kierczyński odrzucił nieco w tył swą rafaelowską głowę i spojrzał prosto w bladą utajonym ogniem pałającą twarz młodzieńca. I jak wczoraj Klotylda, tak on w tej chwili po raz pierwszy uderzony został duchowem podobieństwem Tadeusza do portretu jego ojca, któremu Marceli przypatrywał się często z upodobaniem znawcy i jakąś przewrotną ciekawością, jaką w wyrafinowanej jego naturze wzbudzał ten człowiek nieznany mu zupełnie, a tak blisko w osobiste jego dzieje wplątany. Wiedział o jego niepospolitości, okiem psychologa i artysty odgadywał ją w tych wybitnych rysach i dogadzało to jego ambicyi, że skoro był, jak się w duszy wyrażał, względem kogoś *en faute*, to przynajmniej względem jakiejś nieprzeciętnej jednostki, z którą nie czułby się upokorzonym załatwiać drażliwych rachunków. Teraz musiał przyznać, że los dawał mu godnego jej zastępcę i nigdy jeszcze Tadeusz nie wydał mu się tak sympatycznym, jak w tej chwili.

— Domyślam się, — rzekł głosem pewnym. — Każdej chwili gotów jestem dać panu satysfakcyę.

Tadeusz postąpił ku niemu krok jeden i z kolei zatopił w nim głębokie spojrzenie swych surowo-smutnych oczu.

— Jaką? — zapytał, krzyżując ręce na piersiach.

Cień zdziwienia przemknął się po twarzy Marcelego.

— Zdaje mi się, — rzekł sztywno — że pomiędzy dwoma ludźmi honoru o jednej tylko satysfakcyi mowa być może.

Tadeusz nie zmienił postawy.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, panie de Soligny-Kierczyński — wymówił zwolna i dobitnie, jak gdyby dobrze ważąc każdy wyraz, — że ja w tym pokoju uznaję obecność tylko jednego człowieka honoru.

Marceli syknął nerwowo. Cienkie jego wargi, widocznie pod zakrywającym je zlekka tylko jedwabistym wąsikiem, uniosły się w górę, ukazując drobne białe zęby; apatyczne oczy błysnęły niebezpiecznym ogniem podrażnionego lwa, który się budzi.

— Panie Daleniecki, — rzekł z przyciskiem — bez obelg. Jestem obowiązany do odpowiedzialności za moje czyny, ale nic mnie nie zmusza do słuchania poglądów pana na moją osobę. Jeżeli pan chcesz zrobić na mnie jakieś wrażenie, unikaj proszę, zużytych i pospolitych efektów. Jeszcze raz powtarzam, że w każdej chwili gotów jestem dać panu satysfakcyę i myślę, że dalszy ciąg tej rozmowy już czysto formalnej, możemy bezpiecznie przeprowadzić za pośrednictwem osób trzecich.

— A ja, raz jeszcze zapytuję pana, jaką? Pan to właśnie posługujesz się zużytym i pospolitym efektem, sądząc, że zadosyć uczynisz sprawiedliwości i honorowi, jeżeli za splugawioną cześć kobiety, za wydarty drugiemu skarb jej serca, za zniszczone na zawsze szczęście i spokój domowy, jeżeli za wszystkie te zbrodnie staniesz naprzeciwko człowieka, który żadnej z nich nie popełnił, a który skutki ich w straszliwy sposób na sobie czuje i powiesz mu: „Jestem gotów do przekonania się którego z nas ślepy los uśmierci, ciebie, czy mnie?“ Nie, panie de Soligny-Kierczyński, jam nie przyszedł wyzywać pana na pojedynek; ja się z panem bić — nie będę!

Marceli wyżej jeszcze podniósł głowę.

— Nie będziesz pan? O ile z tej długiej przemowy wyrozumieć mogłem, chodzi panu o nierówność szans naszych. Przyznaję ją panu, aczkolwiek inną drogą idę do tego wniosku. Ale bądź pan spokojnym, wszelkie możliwe *fory* będą po stronie pana. Nie zapomnę o tem, że pan masz powody nastawania na moje życie, a ja ich nie mam.

— To znaczy — przerwał Tadeusz porywczo — że tą dżentelmeńską pochopnością do regulaminowych ustępstw pan sobie chcesz pochlebić, a mnie skrzywdzić przypuszczeniem, że mógłbym z nich skorzystać! Dość tego. Pojedynek pomiędzy nami, pojedynek, który musiałby być na śmierć i życie, jest niemożliwym, nietylko dla tej nierówności szans, jak się pan wyrażasz, a której żadne *fory*, gdybym je nawet przyjął, nie zatrą, ale dlatego, com wprzód powiedział, a co panu podobało się nazwać obelgą, a i dlatego jeszcze, że gdybym ja zginął z ręki pana, byłaby to kara zbyt ciężka, wyrzut sumienia zbyt okrutny dla istoty, do ukarania której ja nie mogę i nie chcę przyczyniać się w jakikolwiek sposób; gdybyś zaś pan zginął, mogłoby to wytworzyć potworne zawikłania w stosunku, którego domieszka żadnych postronnych uczuć skalać nie powinna.

Po raz pierwszy, od chwili, gdy stali tak naprzeciwko siebie rozmawiając, harde oczy Tadeusza spokojnie i surowo tkwiące w twarzy Marcelego zmąciły się i zsunęły ku ziemi. Ukryte znaczenie słów jego ostatnich, które zresztą de Soligny-Kierczyński od razu pojął, kazało mu je spuścić. Nigdy jeszcze nie doznał tyle wstydu i upokorzenia jak teraz w obec tego człowieka, któremu nie śmiał powiedzieć, że lęka się go zabić, aby go własna matka za to nie znienawidziła i że bądź co bądź on tę matkę za nadto kocha jeszcze, aby z zimną krwią mierzyć w tę pierś, w której tkwił jej obraz, występnie, nieprawnie, ale tkwił! Więcej jeszcze; czuł on wyraźnie, że miłość Klotyldy jak ukryta, niepochwytna nić wytworzyła pomiędzy nim a tym człowiekiem, pomimo całej pogardy, całej nienawiści, jaką dla niego pałał, jakiś potworny łącznik, jakiś związek, przeciw któremu wzdrygała się jego dusza, a przecież była zmuszoną go uznawać i z nim się liczyć.

De Soligny-Kierczyński zrozumiał to wszystko wybornie, a przelotny blask tryumfu, jaki zapłonął w jego oczach, padł na Tadeusza jak palący policzek. Dłonie młodzieńca objęły silniej poręcz fotelu, o którą stał oparty. Dostrzegł to Marceli i ledwo widoczny cień ironicznego uśmiechu przewinął mu się po ustach.

— Czy nie mógłbym pana prosić, abyś zechciał usiąść? — rzekł bardzo grzecznie. — Widzę, że rozmowa nasza na dłuższą się zanosi, a i to widzę także, że siły fizyczne pana nie są jeszcze na wysokości jego moralnych uczuć.

Krew buchnęła do bladej twarzy Tadeusza. Wyprostował się i surowe chłodne spojrzenie utkwił znowu w swym przeciwniku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dawniej kiedy brakło na sól, to żyd zborgował, a teraz trzeba bezwarunkowo zapłacić. Szkoda, że Wydział tak zrobił, bo gdyby zamiast soli był wziął wódkę i oddał w dobre ręce, to pijacy, nie mając pieniędzy gotowych, nie śmieliby i nie mogliby brać wódki, coby im nic nie zaszkodziło na zdrowiu, ale owszem nie zadłużaliby się u żyda i wszystkie najpiękniejsze grunta obok Czeremoszu nie byłyby w rękach żydowskich".

Z Oleska nam piszą: Zwierzchność gminna tutejsza wcale się nie troszczy o poprawę stosunków miejskich. Brak n. p. zupełny chodników. Widocznie, iż ci, którzy o tem powinni pamiętać, rozumują w ten sposób, że jak pogoda i sucho, to bez chodnika można się obejść, a gdy deszcz i błoto, to nikt się nie puszcza na zdradzieckie tory chodników, bo mógłby nogę złamać a w najlepszym już razie wpaść do trzymetrowego rowu, woli więc iść środkiem drogi. Toteż, mimo, że posiadamy własne kamieniołomy i piasek, naprawia się u nas drogi *more antiquo* gałęziami wierzbowemi i błotem z rowów. Nie lepiej dzieje się ze strażą pożarną, której brak przyrządów do gaszenia ognia; sikawka jest tylko jedna i to zdezelowana tak, że śmiało możnaby ją już inną zastąpić. Uchwalono wprawdzie kilkaset złr. na zakupno sikawki, lecz dotąd jej nie nabyto.

Z Korościatyna, majątku p. Albina Słoneckiego (rz. kat. parafia Monasterzyska), donoszą nam, że zawiązał się tam komitet, w celu dokończenia kościółka, rozpoczętego przed dziesięciu laty przez śp. Józefę Starzyńską. Przewodniczącym komitetu wybrano ks. Józefa Czarkowskiego rz. k. wikaryusza w Monasterzyskach. Materyały do budowy już się przygotowują, i da Bóg, z wiosną rozpoczną się roboty.

Z Trembowli nam piszą: Na pierwszą wiadomość o klęsce powodzi, która nasz kraj dotknęła, zawiązał się w Trembowli komitet pań, do którego należały panie: Berhardowa, Olpińska, Paszkowska, Praczyńska, Scheferowa, Tobiaszkowa, Wasilewska, Wellesowa i urządził na dochód ofiar powodzi w kasynie tutejszem raut dnia 27 sierpnia.

Cel zebrania wyjaśnił w kilku słowach pan Wasilewski, poczem nastąpiły produkcye, wykonane przez panie Welles, Kaniowską, pannę Wasilewską i pp. Winiarskiego i Witkowskiego. Usiłowania pań osiągnęły pożądany skutek, bo publiczność z Trembowli i okolicy zawsze chętna, gdzie chodzi o otarcie łez bliźniemu, przybyła na ten raut nader licznie, tak że przyniósł on czystego dochodu 118 złr. 27 ct. Nadto zarządziło tutejsze duchowieństwo tego samego dnia w kościele r. kat. podczas nabożeństwa składkę na ten cel, która przyniosła 50 złr. Obie te kwoty zostały na ręce lwowskiego komitetu ratunkowego w dniu 31 sierpnia odesłane.

Żydowskie rozruchy. Przedmieście Kazimierz w Krakowie było onegdaj wieczorem widownią wielkiego zbiegowiska z następującej przyczyny: W domu pod l. 33 przy ul. Krakowskiej mieszkają Fingerowie, rodzice zmarłego przed kilku dniami na cholerę Łazarza Fingera; u nich też przebywał dzień jeden wnuk Juda Finger i przewieziony od nich do szpitala u Bonifratów, zmarł tam wśród podejrzanych objawów. W skutek tego komisarz obwodu III p. Kowalski otrzymał polecenie przeprowadzenia Fingerów do szpitala Bonifratrów, celem poddania ich obserwacyi. Nie dopuścili do tego mieszkańcy domu l. 33 przy ulicy Krakowskiej i zajęli taką postawę, że komisarz obwodowy zażądał interwencyi policyi i wojska. Na taki alarm przybyli natychmiast, za oddziałem żołnierzy policyjnych, pan prezydent Friedlein i p. dyrektor policyi dr. Korotkiewicz. Przedewszystkiem cofnięto wezwanie wojska i starano się wytłómaczyć tłumowi rosnącemu i burzącemu się coraz więcej, potrzebę wykonania zarządzenia, które ogółowi pożytek przynosi, a Fingerom żadnej nie wyrządza szkody. Tyłami domów wreszcie udało się przeprowadzić Fingerową do szpitala; starego Fingera odbił tłum pachołkowi miejskiemu i tak ukrył, że go do dziśdnia nie odszukano. Policya rozproszyła tłum, złożony przynajmniej z 2000 tumultantów.

Cholera. W Krakowie zmarła onegdaj na cholerę Estera Finger, żona zmarłego przed kilku dniami Łazarza Fingera. Mieszkała ona przy ulicy Miedzuch l. 16. Przed domami l. 16 i 18 przy ulicy Miedzuch rozciągnięto silny kordon policyjny, niedopuszczający nikogo do tych domów.

Burza z gradem przeciągnęła dnia 9go września po nad Wiktorowem i Wysoczanką, w powiecie tłumackim.

Śnieg. *Gazeta kaliska* donosi, że w ubiegłą niedzielę około godziny 3 po południu spadł w Kaliszu deszcz ze śniegiem.

Ofiara włościanina. W Barszczowicach pod Lwowem, wiosce mającej tylko cerkiew, jakkolwiek połowa wsi jest łacińska, gospodarz Jakób Dąbek ofiarował grunt pod budowę kaplicy rzymsko-katolickiej.

Nowe Czytelnie ludowe. Wydział lwowskiego Towarzystwa Oświaty ludowej założył nowe Czytelnie w następujących miejscowościach: w Toustem, (w powiecie skałackim) pod zarządem p. Władysława Miazgi, administratora lasów powiatowych; książek 89; w Gródku (na Szląsku austryackim) pod zarządem p. Adama Zieliny, nauczyciela, dziełek 75; w Sokołowie (w powiecie podhajeckim) p. Stanisława Kordala, nauczyciela, dziełek 84; w Glinnej (w powiecie lwowskim) pana W. A. Haluzy, dziełek 83.

Z dawniej założonych Czytelni powiększono biblioteczki w Nawaryi, Wałkowie, Jezupolu, Kołatyczach, Sowinie, Bobulińcach, Jaśle, Sąsiadowicach, Studziowie, Łanach, jakoteż Czytelni ludowej na Janowskiem we Lwowie i wypożyczalni książek w Sokalu.

Okrucieństwo. Dzienniki niemieckie opowiadają o następującym okrutnym czynie pewnego włościanina z pod Hanoweru. Zauważył on, że chłopcy miejscy kradną jabłka z jego ogrodu. Aby oduczyć ich od tego raz na zawsze, zatruł owoce, wiszące na gałęziach niższych. Następnego dnia pięcioro dzieci zachorowało, a jedno zmarło. Lekarz u wszystkich stwierdził otrucie arszenikiem.

Poezya przyszłości. W Warszawie przetłumaczono rozreklamowaną pracę pisarza włoskiego Puglisi Pisco pod tytułem: *La poesia dell'avenire.* Zacytujemy więc z niej dwa ustępy. Oto pierwszy, dotyczący poezyi przyszłości. Autor mówi:

„Poezya przyszłości nie będzie podobna do dzisiejszej, jak dzisiejsza nie jest podobna do wczorajszej, a to dla tego, że poezya może i powinna stosować się do faktów rzeczywistych; nie tylko przedstawia ona świat serca i myśli, ale też daje żywy obraz, w którym się odbija świat fizyczny i moralny z doskonałością innym sztukom niedostępną".

A oto drugi ustęp. Omawia w nim autor kwestyę tak zwanego geniusza wieku. I mówi w te słowa:

„Geniusz wieku — jest to dyrektywa zgodnych i harmonijnie połączonych myśli i uczuć danego kraju lub epoki. Bywają genialne rasy, n. p. Grecy, genialne otoczenia, np. Paryż, genialne epoki np. Ateny VI wieku, Europa VIII wieku, renesans włoski. Epoki takie wyrzucają geniusze, jak wulkan wyrzuca kamienie. Są to epoki najwyższego skupienia sił ducha, epoki najwyższego stężenia twórczości; zgoda uczucia z myślą, pragnienia z wierzeniem, jednostki z gromadą — sięga tu stopnia doskonałości". Nasz wiek, czy posiada swój geniusz? Otóż właśnie posiada on tysiączne geniusze, ale geniusza nie ma. Same przezwiska tego wieku świadczą o sprzeczności trawiących nas myśli, wierzeń i pragnień: jest to, mówią, wiek militaryzmu, wiek elektryczności, wiek newrozy, wiek kapitalizmu, wiek obłudy, wiek filisterstwa, wiek niewiary, wiek hypnotyzmu, wiek emancypacyi, wiek materyalizmu, wiek hamletyzmu, wiek indywidualności, wiek socyalizmu, i tysiąca innych rzeczy, które w niczem są niepodobne do siebie. Znaczy to, że wiek nasz dotąd jeszcze swej dyrektywy nie znalazł i że dopiero jej szuka. Nie ma jednak powodu sądzić, że wiek ten dyrektywy swej nie odkryje".

Autor zapewnia, że cierpliwie będzie czekał, aż wiek XIX odszuka swą dyrektywę. Winszujemy mu cierpliwości.

Kolor ściany. Obliczono jaki wpływ wywiera kolor tapetów na oświetlenie pokoju. Wedle tych obliczeń potrzeba do oświetlenia jednakowo dużego pokoju, obitego tapetami barwy ciemno-brunatnej 87 świec, błękitnej 72 świec, jasno-żółtej 60 świec, jeżeli ściany są z czystego drzewa potrzeba 50 świec, jeżeli z drzewa ciemnopolerowanego 80 świec, nakoniec jeżeli są tynkowane, potrzeba tylko 15 świec.

Zabawny epizod wydarzył się królowi belgijskiemu w Spa. Wyjechawszy na spacer, Ludwik II zostawił powóz w Pepinster i pomimo niepewnej pogody postanowił powrócić piechotą. W chwili gdy w towarzystwie adjutanta, obaj ubrani po cywilnemu, szli przez wieś, zaskoczyła ich straszna burza. W jednym z nizkich domków mieścił się nędzny szynk z napisem: „A l'assurance contre le soif" (Ubezpieczenie od pragnienia). — „Et contre la pluie!" — rzekł król śmiejąc się, zwinął parasol i wszedł z adjutantem do szynku. Gospodyni przyniosła żądany posiłek i nieposzlakowanem walońskiem narzeczem ozwała się do męża czytającego gazetę za kontuarem: „Tego wyższego jegomościa gdzieś już widziałam!" — „I mnie jest on znanym" — odrzekł gospodarz, spojrzawszy z po za gazety. Gdy deszcz ustał, „wysoki jegomość" dał gospodyni pięciofrankową sztukę ze swoim wizerunkiem. — „To on!" — zawołała kobieta do męża, spojrzawszy na pieniądz. — „Tak, to on!" — zawołał z kolei mąż i podchodząc do króla, rzekł zwracając pięciofrankówkę: „Dla waszej królewskiej mości u mnie wszystko bezpłatne". Zabawiony król odebrał pięć franków i po powrocie do Spa opowiedział swą przygodę. Opowiadanie to szybko obiegło Spa i dziś nie ma tam prawie gościa, któryby nie zwiedził gospody „A l'assurance contre le soif" i nie obejrzał fotografii z własnoręcznym podpisem, którą król przysłał właścicielowi szynku.

Zmarli. Hieronim Abramowicz, niegdyś oficer pierwszego pułku Krakusów z roku 1831, następnie inżynier w szkole dróg i mostów w Paryżu, szef sztabu głównego pod jenerałem Wysockim w roku 1848, podpułkownik w sztabie głównym armii tureckiej w roku 1854, przeżywszy lat 88, umarł w Krakowie. — Ferdynand Eisen, naczelnik sądu powiatowego, umarł w 67 roku życia w Krośnie, gdzie był ogólnie ceniony i szanowany jako zacny człowiek i dobry obywatel.

Stan powietrza. Termometr + 5 Reaumura o godzinie 6 zrana, + 7° o godzinie 8 rano, w południe o 12 godzinie + 14 stopni Reaum. Barometr 760. Spada. Dziś mamy dzień pochmurny, ale pogodny.

Zdanie kobiety o kobietach. Słynna autorka, p. Zuzanna Necker, małżonka ministra Ludwika XVI, pisze w swoich „Mięszaninach" między innemi tak:

„Voulez-vous faire prévaloir une opinion? Adressez-vous aux femmes. Elles la reçoivent aisement, parce qu'elles sont ignorantes, elles la répandent rapidement parce qu'elles aiment à parler, elles la soutiennent longtemps parce qu'elles sont têtues."

W tłumaczeniu brzmi to tak: „Chcesz spopularyzować jaką myśl? Udaj się do kobiet. One ją sobie snadno przywłaszczą, bo są głupie; rozpowszechnią szybko, bo są gadatliwe, a wierzyć w nią będą długo, bo są uparte."

Faktem jest, że o kobietach najgorzej mówią.... kobiety.

Przygoda kolejowa jakich mało... Dama siedzi sama jedna w przedziale. Chcąc zaś zachować dla siebie jak najwięcej miejsca, stawia obok siebie na siedzeniu parę kuferków.

— Czy to pani pakunki? — pyta podróżny, szukając miejsca w towarzystwie konduktora.

— Nie, panie — odpowiada dama — to pakunki jakiegoś pana, który w tej chwili wyszedł z wagonu.

Pasażer, nic nie mówiąc siada na brzeżku ławki. Pociąg rusza. Po przejechaniu kilku stacyi dama wysiada. Oczywiście zabiera i pakunki.

— Za pozwoleniem—woła pasażer — pani przywłaszcza sobie cudzą własność. Powołuję się na świadectwo konduktora. Proszę wezwać naczelnika stacyi do spisania protokołu!

Tableau.

Teatr. Dziś we czwartek w teatrze Skarbka: „Dziecko szczęścia", operetka w 3 aktach Karola Millöckera. — Jutro w piątek w teatrze hr. Skarbka: po raz pierwszy „Świeże powietrze", obrazek sceniczny w trzech aktach Stanisława Rossowskiego.

Początek przedstawienia o godzinie 7-mej wieczorem.

Rozmaitości.

— **Piekło buddystów.** W czasopiśmie *The Californien Magazine* Fryderyk J. Masters zamieścił bardzo ciekawy artykuł, opatrzony licznemi rysunkami, wyobrażającemi kary i nagrody, którym wyznawcy Buddyzmu po śmierci będą podlegali. Treść wspomnianego artykułu oparta została na malowidłach i rzeźbach znalezionych w świątyni Shing-Wond, a zwłaszcza na szczegółach podanych przez księgi religijne, wydawane w Kantonie pod nazwą „Juk-lik-czi-po-piu". Według nauki buddystów istnieje aż dziesięć piekieł, a raczej państw piekielnych. Pierwsze przeznaczone jest dla samobójców, dostają się tam jednak źli kapłani i kapłanki, pobierający pieniądze za modlitwy, których nigdy nie zmówili. Ci zamykani bywają w celach ciemnych i zmuszani do czytania przy lichem świetle tych modlitw, nader drobnemi literami pisanych, jakich za życia zmówić zaniedbali. Drugie piekło podzielone jest na dwa podpiekła i zawiera niezliczoną liczbę złych ludzi, tudzież nieuków-lekarzy i szarlatanów, których nieświadomość wielu chorych zabiła; dalej nieuczciwych opiekunów, stręczycieli małżeństw, przyczyniających się do związku osób zdrowych z osobami cierpiącemi na choroby nieuleczalne. Ciekawą jest rzeczą, że niesumienni i nieuczciwi urzędnicy wtrącani są do więzienia, a raczej do klatki, w której ani stać, ani ruszać się, ani chodzić nie mogą; dopiero po upływie wieków całych wolno im jest w postaci wstrętnych wężów powrócić na ziemię. Trzecie państwo piekielne jest na szesnaście przegród podzielone. W przegrodach tych przesiadują złe żony, swarliwe i kłótliwe, podlegając najrozmaitszym męczarniom.

Czwarte państwo przeznaczone jest dla żarłoków, kupców dających złą wagę, dalej dla mściwych i złodziejów. Ci ostatni, gdy się czas ich męczarni ukończy, wracają na ziemię w postaci dzikich zwierząt, gadów lub owadów. Kupcy, używający złej wagi i miary wieszani są pośrodku pokoju na dużym haku, zaczepionym o ich ciało. Do piątego państwa dostają się nie wierzący w naukę Buddy, ci zaś, którzy w jakibądź sposób starają się tamować postęp, umieszczani są na wierzchołku pagody, skąd widzą wszystkie chwile swego szczęścia ziemskiego, by tym sposobem mogli ocenić męki, na które skazani zostali. Niektórzy są rznięci piłą, inni w ogniu smażeni, a inni znów zmuszeni do łykania rozpalonych do czerwoności kul żelaznych. W szóstem państwie piekielnem znajdują się ci, którzy za życia szemrali na złą pogodę, niemoralni pisarze i jedzący mięso zamiast pokarmów roślinnych. Niedbali pedagodzy i uczniowie nieposłuszni mieszczą się razem pod skałą olbrzymią, która ich przygniata. Są także i nagrody różnego stopnia w stosunku do kar. Największą nagrodą dla niezwykle cnotliwej kobiety jest to, że może powtórnie przyjść na świat jako mężczyzna.

— **Przez Atlantyk na łodzi.** Kapitan Michel, komendant okrętu angielskiego „Schiehallion", zakomunikował Towarzystwu geograficznemu w Glasgowie fakt następujący, zanotowany w drodze z Ameryki do Anglii. Dnia 25 lipca r. b. pod 41° szerokości północnej a 52° długości wschodniej, na pełnem morzu, załoga okrętu „Schiehallion" zauważyła łódź, dającą znaki. Po wysłaniu szalupy okrętowej znaleziono na łodzi jednego człowieka. Myślano, że jest to rozbitek, samotny jednak podróżny zeznał, iż nazywa się Gardner, pochodzi z Amsterdamu, liczy lat 45, a w chwili obecnej na łódce, długiej stóp 15, odbywa podróż z Schelburn (Nowa Szkocya) do Amsterdamu; od 34 dni przebywa na morzu, od pięciu dni zaś nie może statkiem kierować z powodu złamania steru. Kapitan Michel ofiarował zuchwałemu żeglarzowi powrót do Europy na swoim okręcie. Gardner jednak z dumą odpowiedział, iż dokonał już trzeciej części podróży, nie cofnie się przeto przed doprowadzeniem do skutku swojego planu w całej rozciągłości. Gdy ster łodzi Gardnera zreparowano, kapitan Michel ponowił ofertę. „Za nic w świecie! — zawołał żeglarz. — Przeszedłem już tyle niebezpieczeństw, iż wstydem byłoby cofać się przed pozostałemi. Przed kilku dni mi przewróciła mi się w łodzi lampka spirytusowa, służąca do odgrzewania żywności. Ogień buchnął, część rzeczy i zapasów spaliła się, a jednak nie zginąłem. W chwili, gdy przejdę ławy Nowej Ziemi, będę bezpieczny. Obawiam się tylko brył lodowych, bo nie mam na pokładzie łodzi nic, coby mnie od nich obronić mogło". Przed odpłynięciem od okrętu wręczył Gardner kapitanowi Michelowi list do żony, zamieszkałej w Amsterdamie. W liście żeglarz obiecuje swój przyjazd za trzy miesiące.

— **Procent** nieczytających i niepiśmiennych w państwach Europy. Profesor Janżuł w czasopiśmie *Niedziela* podaje tablicę procentową nieczytających i niepiśmiennych różnych krajów, umieszczoną na wystawie w Chicago; wykazany jest na niej procent nieczytających i niepiśmiennych w stosunku do ilości wszystkich mieszkańców. Oto są pouczające cyfry: Saksonia 0.2, Norwegia 0.3, Bawarya i Szwecya 0.4, Finlandya 1.9, Prusy 0.6, Anglia 9.0, Francya 9.5, Austrya 23.6, Włochy 42.0, Rosya 78.3, Serbia 79.3, Rumunia 82.0, a Bułgarya 85.0.

— **Największy browar w świecie** znajduje się w Dublinie, a należy do firmy A. Jones syn i Ska. Założony w roku 1759, stopniowo wzrastał, a obecnie majątek przedsiębiorstwa obliczają na 12,500.000 funt. szterl. czyli 150 mil. złr. Roczna produkcya piwa wynosi półtora miliona baryłek, do czego browar zużytkowuje 2,400,000 buszli jęczmienia. Spółka wyrabia cztery gatunki piwa: „Single Stout", powszechnie pijane w Irlandyi, „Extra Stout" i „Export Stout", wywożone na kontynent, oraz „Foreign-Stout", wysyłane w butelkach do Ameryki. Sama spółka nie zajmuje się butelkowaniem piwa, powierzając sprzedaż domom komisowym. Zabudowania przedsiębiorstwa tworzą małe miaseczko, przecięte wąskotorową koleją. Posiada ono kilka oddziałów straży ogniowej, szpitale, apteki i cały personal lekarski. O ogromie przedsiębiorstwa można nabrać pojęcia choćby z samej lodowni, w której ustawiono maszynę, produkującą dziennie do 4000 centnarów lodu. Słodownia składa się z 126 komór, mieszczących 100000 buszli słodu; w magazynie na chmiel znajduje się zawsze 20000 worków chmielu, po 200 funtów każdy. W fabrycznej bednarni pracuje nieustannie 450 ludzi; wydatek na same deski dębowe wynosi 4 mil. złr. Tygodniowo wyrabianych bywa 2500 beczek różnej wielkości. W stajniach browaru stoi 150 koni najlepszych ras piwowarskich. Własna drukarnia przygotowuje miliony potrzebnych etykiet. Pracujący w browarze Jonesa mają własne sklepy z artykułami codziennego użytku i po pewnym przeciągu czasu pobierają rodzaj emerytury, wdowy zaś i sieroty po oficyalistach i robotnikach bywają kosztem firmy utrzymywane.

Głosy publiczności.

Kochawina. Dalsze ofiary na kościół Najśw. Maryi Panny, od 14 marca do 1 sierpnia.

Toczyski uczeń gimn. o pomyślne zdanie egzaminu 1, Z. C. z Rzeszowa o opiekę nad rodziną 1 i n. m. ś., L. G. ze Lwowa na intencyę syna, by otrzymał posadę 9 i n. m. ś., S. Z. z Brzeżan o spełnienie zamiarów 5, Maciejowska z Sambora o opiekę nad rodziną 3, J. C. z Uhrynowa 1 i n. m. ś., Gorayska z Moderówki o zdrowie Stefana i pomoc w przeprowadzeniu trudnych interesów 10, Marya i Michał z Sorocka o zdrowie dla syna Kazia 5, T. F. z Wojnicza „Matko okrywaj nas i nadal płaszczem miłosierdzia swego" 10, Kowenicka z Przemyślan o opiekę M. B. 1 i n. m. ś. Rojekowie ze Lwowa o opiekę M. B. 2, A. Z. z K. prosi najpokorniej N. P. która nigdy nie opuszcza tych, którzy ślepo jej ufają o ratunek w interesach 10, Dębowska z Zarszyna o zdrowie 1, Wcisłocka dziękując za otrzymaną łaskę 1, Cichocka z Husiatyna dziękując za łaski 1 i n. m. ś., B. K. L. dziękczynnie 5, Braun ze Starej Soli 1, Zielińska dziękując za zdrowie 1, Bazali za doznane łaski 2, Dziobak o błogosławieństwo na nowem miejscu 2, Jadwiga z Chodorowa o pomoc w ważnej sprawie 2, Eckhardt z Tarnopola za łaski 1 i n. m. ś., Boryniewicz ze Lwowa o wysłuchanie próśb 1, Truszkowska 2, Warynicki ze Lwowa o polepszenie losu 2, Korystyńska ze Lwowa o polepszenie losu 2, Grabowski o polepszenie losu 2, J. T. z Horodenki votum za otrzymane łaski 5, J. S. z Tarnopola o uzdrowienie 2 i n. m. ś., M. T. ze Lwowa o opiekę nad synem 1, Zajączkowska z Ponikwy o spełnienie życzeń 1, Mosch ze Lwowa o pociechę 1, Rogoszowa z Krakowa 5, Kociubowa o pomoc dla syna przy egzaminie dojrzałości 1, Pieńczykowska ze Strychaniec 1·50, M. K. z Rozdołu ofiara dziękczynna 2, Mildner z Oleszyc o uzdrowienie żony 2, E. M. z Ulicka za doznane łaski 5.

Ks. Jan Trzopiński
admin. parafii poczta Żydaczów.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 12 września.

(Z) Pomimo, że publiczność giełdowa była dziś bardzo nieliczną, rozwinął się prąd zwyżkowy w całej pełni. Dwie okoliczności wpływały bardzo korzystnie na tendencyę targu, a mianowicie toast, który Cesarz wzniósł w Boros-Sebes na cześć cara, tudzież wiadomość, że do banku angielskiego napłynęło wczoraj złota za pół miliona funtów szterlingów.

Ta ostatnia wiadomość dała powód do nadziei, że przecież dyrekcya banku angielskiego w tym tygodniu zniży swój eskont, zwłaszcza że na giełdach spada ustawicznie kurs weksli opiewających na Londyn. Papiery bankowe uzyskały kilkuguldenowe zwyżki, a także kolejowe podniosły się w cenie. Największym popytem jednak cieszyły się walory górnicze i to zarówno na naszej giełdzie jak i na berlińskiej. Powodem tego jest trwająca dotychczas bastówka górników w Anglii, w której bierze udział 200.000 ludzi. Niemieckie i austryackie kopalnie spodziewają się zrobić na tej bastówce doskonały interes, gdyż Anglia będzie musiała niebawem już sprowadzać węgiel i płacić zań wysoką cenę. Z rent na pierwszym planie były dziś obie koronne i węgierska złota.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 339·—, węgierskie 416·50, Anglobanki 150·50, Uniony 253·—, Bankvereiny 121·06 Landerbanki 246·50, Ludwiki 218·75, Czerniowieckie 254·75, Renta papierowa 97·50, srebrna 97·30, austryacka złota 119·95, 4% austr. renta wal. kor. 96·90, węgierska złota 116·10, 4% węgierska renta wal. kor. 94·50, dukat 5·94, 20-frankówka 9·95—, marki 12·32—, ruble 1·30½.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 2-go do 9go września 1893 r. bez opłaty akcyzowej: Pszenica 7·85—8·25, nowa 7·25—7·60, żyto 6·35 do 6.60, nowe 5·55—6.—, jęczmień brow. 6·00—6·25, pastewny 5·15—5.40, owies 6·45—6·75, nowy 5·25—5·75, hreczka 0·——0·00, kukurudza zeszłoroczna 6.00—6·60, kukurudz. nowa 5.50—5·75, groch do gotowania 7·50—9·75, pastewny 5·25 do 6·50, proso 0·00—0·00, bobik 5.00—6.00, wyka 4.50—6·—, koniczyna 50·— do 80·—, anyż rosyjski 35·00—38·00, anyż płaski 36.00—37·—, kminek 23·— do 25·00, rzepak zimowy 12·50—13·.5, letni 12·— do 12·25, lnianka 8·— do 9.—, nasienie lniane 9·75 do 11.75, nasienie konopne 0·00 do —·0, tymotka 00—00, chmiel 178—223, nafta zwykła —·— do —·—, salonowa —·— do —·—, wosk ziemny —·—do—·—. Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, z podatkiem konsumcyjnym 51·80—52·10, fasola 8.00—8·50.

Telegramy „Przeglądu".

Rzym 14 września. *Ajencya Stefaniego* donosi, że eskadra angielska zabawi na wybrzeżach włoskich od 11 do 31 października i zwiedzi kolejno porty w Tarencie, Catanii, Neapolu, Castellamare, Spezii i Genuy

Peszt 14 września. W ciągu ubiegłej doby zachorowało na cholerę w całych Węgrzech 22 osób, a umarło 14.

Rzym 14 września. Wczoraj zachorowało na cholerę we Włoszech 15 osób, a umarło 7.

Karlsruhe 14 września. Stowarzyszenia tutejsze urządziły wczoraj na cześć Cesarza wspaniały korowód z pochodniami.

Kanclerz Caprivi odjeżdża dziś do Sztutgardu.

Praga 14 września. Zaprowadzenie stanu wyjątkowego ogłoszono wczoraj plakatami na rogach wszystkich ulic. W mieście panuje spokój zupełny. Powszechnie są zdania, że te wyjątkowe rozporządzenia skierowane są w pierwszej linii przeciw *Narodnim Listom.* Redakcya tego pisma otrzymała rozkaz przedkładania egzemplarzy do cenzury na trzy godziny przed ich wydaniem. Oczekują lada dzień zupełnego zawieszenia tego wydawnictwa. Wydawcy *Narodnich Listów* robią przygotowania, aby w razie gdyby rzeczywiście zawieszono ich pismo, wydawać je w jednem z miast prowincyonalnych, a gdyby stan wyjątkowy rozciągnięto na całe Czechy, chcą je wydawać w Wiedniu. Władza zawiesiła wczoraj wydawnictwo czterech tygodników młodoczeskich, a mianowicie: *Neodvislost, Pokrokove, Nove proudy* i *Casopis ceskeho studenstwa* i rozwiązała wszystkie młodoczeskie stowarzyszenia w Pradze i okolicy. Organ Massaryka *Cas* otrzymał również rozkaz przedkładania do cenzury egzemplarzy na trzy godziny przed ich wydaniem.

Praga 14 września. Obiega tu wersya, że hr. Taaffe zaproponował Cesarzowi zaprowadzenie stanu wyjątkowego w Pradze zaraz po antidynastycznych demonstracyach, jakie miały tu miejsce w wilię urodzin Najj. Pana. Cesarz podpisał odnośną uchwałę gabinetu, rozkazał jednak, aby jej nie ogłaszano, aż dopiero w razie ponowienia demonstracyi. Jakoż rzeczywiście wnet rozpoczęły się demonstracye z powodu wynalezionej przez *Narodni listy* rocznicy wydania reskryptu cesarskiego z 12 września 1871, a gdy demonstracye te przybierały coraz bardziej charakter antidynastyczny i antipaństwowy, gdyż towarzyszyło im śpiewanie hymnu rosyjskiego itp., wówczas zdecydował się rząd ogłosić powziętą jeszcze dnia 22 sierpnia uchwałę.

Pisma staroczeskie i konserwatywne, zarówno w Czechach jak i na Morawie, nie wdają się w żadną krytykę rozporządzeń rządowych, a przypisują tylko młodoczechom całą winę. Najgwałtowniej uderza na młodoczechów *Hlas naroda* za to, że swym nieokiełznanym i nierozumnym szowinizmem sprowadzają na kraj nieszczęścia.

Berlin 13 września. W zapowiedzianych odwiedzinach floty angielskiej we Włoszech upatruje *Koelnische Ztg.* odpowiedź na odwiedziny eskadry rosyjskiej w Tulonie.

Berno (morawskie) 14 września. *Moravska Orlice* donosi, że wydawnictwo *Narodnich listów* przeniesie się do Berna.

Praga 14 września. Namiestnik wydał obwieszczenie, w którem zabrania wszelkiego zgromadzania się na ulicy, tłumnych pochodów, demonstracyjnego noszenia odznak i wywieszania chorągwi z wyjątkiem chorągwi państwowych i krajowych.

Przyjechali do Lwowa

dnia 14 września 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Hrabia M. Piniński z Koszyłowic. J. Krzyżanowski z Hulcza. K. Zaremba z Adamówki. A. Gajewski z Romanowa. M. Dziewoński, S. Stoch i Z. Elterlein z Niezdowa. W. Walas z Dobczyc. A. Zborowski i S. Michalski z Dobczyc. F. Hanisch z Berlina. A. Krotosyner z Wiednia. H. Kaempffe z Lubyczy.

HOTEL METROPOL. M. Gnoiński z Grzymałowa. S. Juhn z Grzymałowa. J. Dumański z Wiednia. J. Neumann z Pragi. K. Siarkiewicz z Buda-Pesztu.

HOTEL CENTRALNY. B. Kapliński z Korczowa. M. Rakowski i ks. P. Jezierski z Czahrowa. Ks. D. Steblecki z Korolówki. E. Niedźwiecki z Borszczowa. B. Strawiński z Szydłowca. M. Leligdowicz z Olszanicy. L. Bartha z Pragi. M. Stolley z Wiednia. K. Lenchner z Wiednia. A. Korn i W. Scholtz z Wiednia.

HOTEL ZORZA. L. Cieński z Okna. Wł. Dembowski z Siar. Hr. K. Czosnowski z Podola rosyjskiego. J. Czosnowski z Podola ros. Z. Rudzimiński z Krakowa. L. Lax z Saazu. Dr. A. Zając ze Seretu.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie.

Szan. Duchowieństwu obu obrządków, krewnym, przyjaciołom, dawnym sąsiadom z daleka przybyłym i wszystkim, którzy łaskawi byli uczestniczyć w oddaniu ostatniej posługi nieodżałowanej najukochańszej matce naszej Klementynie z Orłowskich Konopackiej, składamy niniejszem szczere dzięki i „Bóg zapłać."

Walerya z Konopackich Czarniakowska.
Mieczysław Konopacki.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 13 września godz. 2. min. —

Akcye kred.	339·—	Galicyj. obligi propinacyjne	96·80
Alpiny	53·60	Wied. losy	176·25
Kredyty węg.	415·25	Akcye tyton.	191·—
Anglobanki	151·75	4% Poż. kraj. z r. 1893	96.50
Uniony	253·—	Elbethale	237·75
Ludwiki	219.—	Länderbanki	246·60
Nordbany	287·50	Renta zł. węg.	116·25
Lombardy	105·65	Bankvereiny	122·—
Losy tureckie	49·40	Węg. renta p.	94.45
Staatsbahny	303·65	Ruble	1.30 75
Czerniowieckie	255·—		

Usposobienie bez ruchu.

Z Izby handlowej. Lwów 14 września 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej gal. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	217	50	220	50
„ Lwow.-czer.-jas. 200 zł. w. a.	254	—	257	—
Banku hipotecz. gal. 200 zł. w. a.	385	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
2. Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. gal. 5% los. w lat. 40	101	—	101	70
Banku hip. gal. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. 4½% los. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego 4½% w. a.	100	50	101	20
Banku krajowego 4% los. w 57 l.	97	30	98	—
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	98	70
„ „ „ 4% „ 56 lat.	98	25	98	95
„ „ „ 4½% „ 52 lat.	98	20	98	90
„ „ „ 4% los. w 41½ lat.	100	—	100	70
3. Obligi za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	50	97	20
Bukow. fund. propinacyjnego 5%	102	25	—	—
Kom. Banku kraj. 5% II emis.	102	25	—	—
Pożyczka krajowa 6%	105	—	—	—
„ „ 4½%	100	—	100	70
„ „ 4%	96	50	—	—
„ „ 4% koronna	96	70	97	40
4. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	50	25	—
Losy miasta Stanisławowa	40	—	—	—

5. Monety.

Dukat holenderski	5·90	6·—
Napoleondor	9·90	10·—
Półimperyał rosyjski	10.10	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1·30—	1.32—
„ „ papierowy	1·30½	1·32—
100 marek niemieckich	61·30	61·90—

104)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

„Kiedy pani otrzymasz mój list, pewnie będzie ona już na miejscu — pisał profesor. — Adresu jej dowiesz się pani w hotelu Minerwy. Od pani zależy, czy chcesz ją widzieć lub nie. Dotrzymałem ci wiernie tajemnicy i nie wie ona nic o tobie. Jeżeli mi jednak wolno radzić ci, to odszukaj ją pierwsza. Ma ona zamiar trzy lata co najmniej zabawić w Rzymie. Niepodobna więc, abyście się nie spotkały przypadkowo. Jeżeli wszakże chcesz pani uniknąć widzenia się z nią, to radziłbym ci przenieść się do Florencyi. Może ci dać listy polecające i sądzę, że nie straciłabyś pani na tem materyalnie.

Nie wahałam się ani chwili. Odłożyłam robotę na bok i kazałam się zawieźć do „Albergo della Minerwa."

Na zapytanie moje, czy panna Sachs przyjechała, usłużny kelner odpowiedział mi, że przybyła przed godziną właśnie i poprowadził mnie na czwarte piętro, do maleńkiego pokoiku na poddaszu, gdzie zastałam moją przyjaciółkę bladą, znużoną i stroskaną, siedzącą wpośród podróżnych tłumoków.

— Ido — rzekłam, podnosząc woalkę — czy poznajesz mnie?

Zerwała się, spojrzała, zawahała chwilę i z okrzykiem radości rzuciła się w moje ramiona.

— Barbara! moja kochana Barbara! czy to ty... ty?..

I płacząc i ściskając, tuliła mnie w swoich objęciach, zaledwie dowierzając własnym oczom.

— Ach! ileż to czasu minęło, odkądeśmy się nie widziały, droga moja! — mówiła, uspokoiwszy się nieco. — Już straciłam zupełnie nadzieję ujrzenia ciebie. Słyszeliśmy, żeś wyszła zamąż, ale nie wiedzieliśmy nawet za kogo. Czemużeś nie napisała do nas, niedobra? Zapomniałaś o twojej biednej Idzie, która cię tak gorąco kochała. Czy mieszkasz teraz stale w Rzymie? Czy twój mąż jest malarzem? Skądżeś się dowiedziała, że ja tu jestem? Jakaś ty dobra, żeś przyszła. Tak okropnie samotną czułam się w tem wielkiem, obcem mieście.

— Moja kochano Ido — odparłam — zadajesz mi jednem tchem tyle pytań, że nie wiem jak na nie odpowiedzieć. Wytłómacz mi pierwej, jakie masz plany na przyszłość?

— Ja? właściwie żadnych. Chcę się uczyć.

— A gdzież zamieszkasz?

— Nie mam pojęcia.

— Znasz kogo tutaj?

— Ani żywej duszy.

— Więc czy chcesz zamieszkać w jednym domu ze mną? Moja *padrona* ma duży, widny pokój do odnajęcia.

— Ach! co za szczęście! Ale cóż twój mąż powie na to?

— Mego męża nie ma w Rzymie. Zbieraj więc twoje manatki, droga moja, i jedźmy. Jeżeli zaś wolisz, to odeślemy kuferek przez posługacza, a same pójdziemy pieszo.

— Wolałabym iść pieszo, jeśli cię to nie zmęczy.

— Nie obawiaj się o mnie. Przyzwyczajona jestem dużo chodzić po zachodzie słońca, a przechadzka o chłodzie może mi tylko dobrze zrobić.

Wydawszy stosowne rozporządzenia hotelowej służbie, wyszłyśmy na ulicę.

— Więc to jest Rzym? — mówiła Ida, rozglądając się dokoła. — A tam oto Panteon, gdzie spoczywają prochy Rafaela! A tu, obok mnie, Barbara, którą straciłam już nadzieję ujrzeć w życiu. Powiedz mi, ukochana moja, czy ja śnię, czy czuwam?

— Jakże ci tego dowiodę, że to rzeczywistość? — odparłam, śmiejąc się.

— Bo, widzisz, ten Rzym zupełnie inaczej mi się przedstawia, niż go sobie wyobrażałam. Nie byłam przygotowaną na widok tych sklepów, dorożek i ulic. Wyobrażałam sobie rodzaj starożytnej Palmiry, świat ruin i gruzów, rozrzuconych w bezładzie na piaszczystym stepie Kampanii, z jedną tylko stojącą gdzieś na uboczu zamieszkałą dzielnicą, w której ludzie żyją, sypiają, jedzą i poruszają się, jak zwyczajni śmiertelnicy. Patrz, patrz! co to za dziwadło jakieś w krezie i pasiastych pończochach? To stworzenie wygląda, jak gdyby żywcem zstąpiło z jakiegoś średniowiecznego obrazu.

— To gwardzista papieski — odparłam, ubawiona jej gadatliwością. — A teraz jesteśmy w Corso, w samem centrum Rzymu.

— O ileż tu weselej, niż we Florencyi. Bo trzeba ci wiedzieć, że przybywam prosto z Florencyi, gdzie pięć tygodni wytrwałam, nudząc się śmiertelnie. Nie wiem, cobym była robiła, gdyby nie jedna poczciwa, kochana, nieznośna, gderliwa stara Angielka, która polubiła mnie i czasem zabierała z sobą na spacery powozem w okolice miasta. Co to za nieoceniona była staruszka! Sprzeczała się z każdym i wymyślała na czem świat stoi na wszystko, co zagraniczne. Uśmiałam się nieraz do rozpuku. Wszyscy jej nienawidzili na pensyonacie, z wyjątkiem mnie jednej. Nakoniec wyjechała, aby się połączyć ze swą siostrzenicą w Pizie, a ja zostawszy sama, nie mogłam już wytrzymać dłużej i także przyspieszyłam mój wyjazd.

— Ale galerye i kościoły, te przecież musiały cię zachwycić?

— Olśniły mnie poprostu! Błądziłam po nich, jak Aladyn w krainie czarów. Nie umiem ci powiedzieć, jakiego uczucia doznałam, ujrzawszy po raz pierwszy Michała Anioła dłuta Dawida, stojącego w całym swoim majestacie na świeżem powietrzu, naprzeciw książęcego pałacu. Na widok Wenery i Fornariny aż się rozpłakałam z radości. Czy pamiętasz ten pierwszy, długi korytarz, pełen obrazów religijnej treści, datujących się z epoki wczesnej szkoły toskańskiej? te smutne, zadumane Madonny, z głową nieco na bok przechyloną? tych złotowłosych aniołów w sztywnej postawie? Czy przypominasz sobie łudzący połysk tych aksamitów i złotem tkanych haftów? A tych świętych w dworskich strojach sadzonych klejnotami, ze złotą aureolą okalającą trefione misternie ich włosy?

— Pamiętam. I te zdumiewające krajobrazy w głębi, te czerwone zamki osadzone na niebotycznych szczytach błękitnych skał, te tła miedzianej, nieprawdopodobnej barwy.

— A Niobe, a Madonna della Seggiola, a freski Giotta... tu warto żyć po to tylko, żeby to widzieć!... ale trudno jest zamieszkać na zawsze w kościołach, a po godzinie trzeciej Florencya staje się od razu najnudniejszem miastem pod słońcem. Każdy dom wygląda jak więzienie, a jeszcze jak się towarzystwo nie dobierze na pensyonie, to gorzej niż samotność. Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, jakim sposobem dowiedziałaś się o mojem przybyciu do Rzymu?

— Z listu, który otrzymałam dzisiaj od profesora Metz — odparłam.

— Od profesora Metz! Więc on wiedział, że tu jesteś? A, jaki niegodziwy, że mi nic o tem nie powiedział! Ale à propos, moja droga, nie wiem nawet twego dzisiejszego nazwiska. Znałam cię jako Barbarę Churchill...

— Więc obecnie, kochana Ido, poznaj mnie jako Barbarę Carlyon.

— Carlyon! Jak to ładnie brzmi! A! moja najdroższa, a ja byłam zawsze przekonaną, że ty wyjdziesz za pana Farguhara i będziesz większą panią niż nasza wielka księżna. To szkoda... A powiedzże mi coś o twoim mężu. Co to? Ty masz łzy w oczach. Czyżby...

— Nic, nic, moja droga. Odłóżmy osobiste kwestye na później. Wiedz tylko, że wiele przecierpiałam w życiu... i że wolę zamilczeć o tem. Oto jest Piazza di Spagna, a to kościół Trinita dei Monti. Jesteśmy w angielskiej dzielnicy miasta. Tam oto widzisz akademię, a dom nasz stoi tu w pobliżu.

Ida z uczuciem przytuliła moje ramię, ale nic nie odpowiedziała na to. Posmutniała nagle i czułam, że jej kochające serce zostało do głębi poruszone. Na zakręcie ulicy Via della Croce ujrzałyśmy małe zbiegowisko ludzi, które utworzyło się dokoła wędrownego grajka, śpiewającego ludową jakąś balladę przy akompaniamencie ochrypłej gitary. Głos jego miał pełne, harmonijne brzmienie; na głowie nosił czerwony fez, a długa, czarna broda, gęsto posrebrzana siwizną, zwieszała mu się na piersi.

— Cóż to za piękny i malowniczy typ! — zawołała Ida. — Jakżebym rada naszkicować tę głowę.

— Nic łatwiejszego — odparłam. — Ręczę ci, że za parę paulów chętnie pozować ci będzie do portretu.

Ale ona nie śmiała mu tego zaproponować, to też zatrzymawszy się chwilę, poszłyśmy dalej.

— To dziwne! — rzekłam — zdaje mi się, że ta twarz nie jest mi obcą... że gdzieś widziałam ją, ale gdzie i kiedy...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Ludwik Masłowski.** — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.